

Wiadomości Polskie THE POLISH NEWS WEEKLY POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

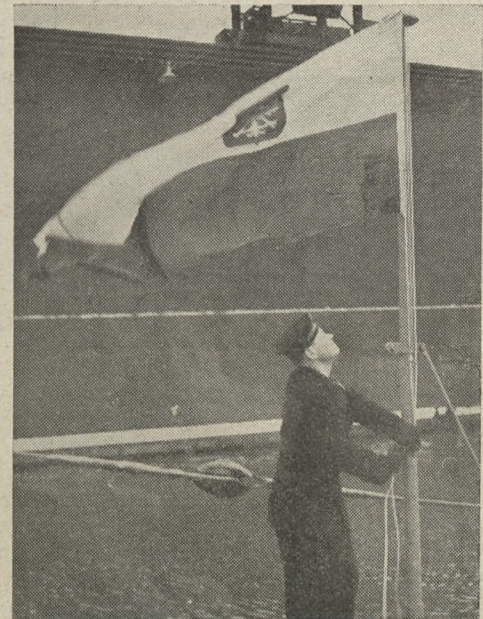
W NUMERZE: Zygmunta Nowakowski: Wilk cały i owca syta. — Ksawery Pruszyński: Śmierć podchorążego Płużańskiego. — Stefania Zahorska: Warszawa: lato 1939. — Arkady Fiedler: Gorąca wieś Ambinaitelo. — Głodna krew. — Skarbnica Polska. — Z pism Wacława Berenta: W tyngeltanglu. — Śmierć Walińskiego. — Dąbrowski. — Epilog. — Grabiec: Sprawa, o której się nie mówi, a o której się powinno krzyżować. — Zbigniew Grabowski: James Joyce. — Antoni Słonimski: Film Chaplina „Wielki dyktator”. — Zofia Kolanowska: O tradycji w Anglii. — Gustaw Gazda: Prawo najeźdźcy. — Alfa: Rozmaitości — Korespondencja. — Z. K. S.: Wspomnienie. — Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich”.

ROK II — NR. 5 (47) — LONDYN NIEDZIELA 2 LUTEGO 1941 REDAKCJA 36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1 Telefony: MUSEUM 2346 i 2563 ADMINISTRACJA: 20, BLOOMSBURY ST., LONDON, W.C.1 Telefon: MUSEUM 9093 CENA PRENUMERATY kwartalnie w Anglii 6s. 6d. w innych krajach \$1.50 Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

WILK CAŁY I OWCA SYTA

Tydzień temu byłem świadkiem chrztu, i to chrztu pięknego tak jak tylko wyobrazić sobie można: nowa, polska łódź podwodna, cacko misterne a przytem groźne i wyposażone we wszystkie cuda techniki, otrzymała na tym chrzcie nazwę „Sokół”.



PODNIENIE BANDERY



PRZED GODŁEM O.R.P. „SOKÓŁ”



NA POMOCIE

Na szczęście, moje obawy były płonne, butelka bowiem pękła od razu na drobne kawałki, szampań zaś poszedł do morza. (Dopiero w tej chwili zrozumiałem głęboki sens powiedzenia: „kropla w morzu”!).

Przeżyli się marynarze, słuchając słów generała, który mówił o tem, że jesteśmy narodem morskim, że w twardej szkole angielskiej marynarka nasza zahartuje się jeszcze bardziej i nowych cnót nabędzie.

Zaczynam rozumieć właściwy sens pozornie zbanalizowanego słowa „gentleman”. On właśnie mówił jak gentleman i zarazem jak żołnierz, jak człowiek, który zna się na morskim rzemiośle i potrafi ocenić te znajomości u innych.

Wydaje mi się, że jest lotnikiem i że z lotu widzi to wszystko pod sobą, z lotu, prosto w nieb, salwa za salwą. Radość, radość, radość. Co znaczą to wszystkie, te przeciągłe gwizdy ostrzegawcze to lupanie kul w skałę, wołanie tej radości przegromionej, przestraszonej radości wojennej!

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ŚMIERĆ PODCHORAŻEGO PŁUŻAŃSKIEGO*)

Podawali się, biegną owym lasem, było nie było, w trzecim kolejnym szturmie. Wybiegali tak i padali, przesiani ogniem maszynowym.

W prawo od Łarki wykwitły na wodzie ciemnej białe wytryski. Poszło w bok. Przykładał jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

Wydaje mi się, że jest lotnikiem i że z lotu widzi to wszystko pod sobą, z lotu, prosto w nieb, salwa za salwą. Radość, radość, radość. Co znaczą to wszystkie, te przeciągłe gwizdy ostrzegawcze to lupanie kul w skałę, wołanie tej radości przegromionej, przestraszonej radości wojennej!

Wydaje mi się, że jest lotnikiem i że z lotu widzi to wszystko pod sobą, z lotu, prosto w nieb, salwa za salwą. Radość, radość, radość. Co znaczą to wszystkie, te przeciągłe gwizdy ostrzegawcze to lupanie kul w skałę, wołanie tej radości przegromionej, przestraszonej radości wojennej!

— Oni te cekaemy mają już wstrzelane — stwierdza Płużański.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

— Widziałem jeszcze raz. Na barce pierwszej widać z góry jakby nerwowo pośpiech.

*) Z książki „Droga, wiodła przez Narvik”, która niedługo ukaże się nakładem M. I. Kolina.

Przeżyliśmy piękny dzień, który jeszcze piękniejszy musiał być dla gen. Sikorskiego.

Przeżyliśmy piękny dzień, który jeszcze piękniejszy musiał być dla gen. Sikorskiego.

Przeżyliśmy piękny dzień, który jeszcze piękniejszy musiał być dla gen. Sikorskiego.

Przeżyliśmy piękny dzień, który jeszcze piękniejszy musiał być dla gen. Sikorskiego.

Przeżyliśmy piękny dzień, który jeszcze piękniejszy musiał być dla gen. Sikorskiego.

Mowę swoją zakończył admirał po koleżeńsku, życząc szczęścia świetnemu dowódcy „Sokola” i całej znakomitej załozce. Trudno mi opowiadać po porządku, nie jestem bowiem fachowym reporterem.

Wewnątrz „Sokola” króluje rzeźba, przedstawiająca... owcę. Cała robota łodzi — wedle zdania znawców — świadczy o tem, że stocznia pracowała naprawdę con amore i że zasłużyła na pochwały, których nie szczędzili jej w swych mowach zarówno gen. Sikorski jak admirał Horton, jak wreszcie dyrektor i prezes rady nadzorczej a wielki nasz przyjaciel i przełożony gospodarz.

Patrząc na tę łódź podwodną, człowiek jest wzruszony głęboko, ale, broń Boże, nie lirycznie, nie na miękko. Przeciwnie, coś twardnieje w sercu na kamień, na żelazo głowa samorzutnie podnosi się do góry, oczy — zupełnie suche — patrzają prosto w dal i zaczynają coraz wyraźniej widzieć rzeczy przyszłe. Rzeczy, które idą, które już są w drodze. Podczas dźwięków hymnu nie a nie nie ścisła za gardło. Oddycha się lekko, swobodnie i szeroko. Można powiedzieć, że „nareszcie” się oddycha.

Patrzącemu ubywa lat, tych strasznych lat wojennych. Patrzący traci uczucie bierności, widzi, że nie jesteśmy w impasie. Ta łódź jest czymś tak realnym, tak pozytywnym, że po raz pierwszy od bardzo dawna, nie czulem się biedakiem, niedźwiedziem, miałem wrażenie, że jestem... bogaty. Nawet jak bogaty!

Równocześnie, patrząc na tę przepiękną łódź, zaczynam rozumieć bogactwo niezmiernie Anglii, tej Anglii, której nie można pokonać. Przecież stocznia, podobnych do tej, która urodziła i wyniańczyła „Sokola”, ma Wielka Brytania chyba za sto! Może nawet więcej! I dla Anglii zaczynają pracować pełną parą stocznie amerykańskie! Nie, Anglii nie da się pokonać i zniszczyć! A z Anglią razem i my idziemy w przyszłość zwycięską.

Dał zimny wicher styczniowy, lecz wszystkim było ciepło, gorąco. I wszyscy mieli na twarzach uśmiech radosny bardzo, choć równocześnie pełen spokoju, pełen wielkiej wiary w to co idzie, w to co nadejdzie musi. Aby zaś radość była jeszcze pełniejsza, gen. Sikorski dodał szczególną wagę temu dniowi, mianując kontradmirała Świrskiego wiceadmirałem. Zastąpił sobie na to święty marynarz, zasłużyła sobie na to marynarka polska! Niechże nowy wiceadmirał pasie takich „Owicz” stada całe!

Niechże te „Owce” pokażą Niemcom kły „Wilka”!

I potem będzie się mówiło nie tylko o starym wilku, lecz i o starej... owcy morskiej.

W artykule o marynarce polskiej pragnęmi równocześnie dać wyraz czci dla całości naszej siły zbrojnej. Mówiąc o marynarach, mamy na myśli także wspaniałe lotnictwo nasze, równie jak bohaterką armię lądową, wszystkich jej oficerów i żołnierzy.

Stosunek nasz do wojska jest chyba dostatecznie jasny, mimo to podkreślamy z naciskiem słowo „całość”, ponieważ szkic literacki „Poleszuk”, którego genezę i charakter wyjaśnił mi w poprzednim numerze, wywołał reakcję sprzeczną z zasadniczym stanowiskiem „Wiadomości Polskich”.

Korpus oficerski ma piękną a krwawą kartę w kampanji wrześniowej. Dowodem jego bohaterstwa i hartu ducha są nazwy bitew, są obozy jeńców, są słowa wysokiego uznania, jakiego nie szczędzili mu nawet Niemcy.

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

Warto przypomnieć, że dzisiejszy Wódz Naczelny, jako premier, kładł fundament pod budowę Gdyni w r. 1923. Warto przypomnieć szczegół jeszcze bar-

STEFANJA ZAHORSKA

WARSZAWA: LATO 1939^{*}

Lato było gorące. Nadrzeczne plaże roily się od brązowych ciał. Ludzie wygrzewali się w piasku, potem wskakiwali do wody i zgięli pod siebie fale Wisły. Ogładana od dołu i od zielonych brzegów rzeki, Warszawa wrzynała się dachami w błękit, zahaczała murami o obłoki; i miasto siedziało mocno na ziemi i niebie, ujęte w dwie kamry: zieloną i niebieską.

Na asfalcach ulic leżały wielkie platy słońca, powietrze zdalo się nieruchome, jakby stałość istnienia objęła nawet najlotniejsze cząstki. Na Krakowskim Przedmieściu, barokowe pałace, schowane za wzorzystymi kratami, śniły swój letni sen, i góry spadały na nie po raz dwóchsetny. Faliste gzymsy rzucały na oczy dymów cień głęboki. Samochody sunęły ulicami w tym dniu rozgrzanym, klaksony brzmiały niechętnie, dzwonki tramwajów urywały się nagle, chwilami gasy nawet poszum miliona kroków, i z góry, z dalekiej przestrzeni kraju, spadała na miasto cisza lata.

W tę ciszę wpadły gromady chłopców, wypuszczonych z bram wielkiego domu. Biegli ulicami, wzmachiwali biało-czarnymi płachtami gazet, i wielkie litery napisów rozsypany były po wszystkich ulicach: „Hitler przemawia w Gdańsku!”.

Krzyk uderzał o zaspane okna, wpadał w otwarte bramy, w głębokie podwórza, budził ludzi ukrytych przed słońcem w chłodnych pokojach, chłopcy pedzili zdyszowani, jakby piersiami i ramionami chcieli roztrzaskać spokój — Hitler! Gdańsk! — wiadomość jest jak każda inna, ważny jest krzyk, pośpiech, bieg...

— Duzoż sprzedadź!
— Już setka poszła!
Chłopcy przystają na chwilę i obliczają zarobione pieniądze.

Przerwany jest bezczul, i przyspiesza się rytm sprawy, wiadomość wydaje się dobra i życiodajna. Hitler sprawia, że dzienniki powiększają nakład, kioski z gazetami otwierają dodatkowe okienka, uśmiechają się sprzedawcy. Ktoś, czytając gazetę, myśli o ubraniu na zimę — może ceny pójdą w górę? Ktoś wybiera cukier jako zabezpieczenie na niepewną przyszłość. Ci, których rodziny spędzają lato nad morzem, piszą zaniepokojeni do swoich bliskich, i szybkiej stukają pieczątki na stołach pocztowych zawałonych listami. W sklepach sprzedawcy odmierzają szybko metry materiałów, w sklepach spożywczych notują radziej więcej zamówienia. W biurach ministerjalnych przerwany jest letni spokój, w przedpokojach czekają poważni panowie, wprowadzeni przed dygnitarzy uśmiechają się tajemniczo: — wojna. Panowie zza biurka wzruszają ramionami: — bluff... Ale słowa Hitlera mówione w Gdańsku wiszą w powietrzu, kładą się podpisy na kontraktach dostaw, fabryki mają powiększyć zapas surowców. Tego dnia telefony międzymiastowe pracują gorączkowo — Bank Gospodarstwa Krajowego udziela kredytów! — Już wieczorne pociągi wpadają na dworzec przepelnione, tragarze kolejowi mają dobry dzień, w hotelach zapelniają się pokoje, w sali restauracyjnej jest duszno i pełno — kredyty! kredyty! rusz! rusz! Kelnerzy zbiegają szybko do piwnicy i wyszukują butelki wina, zabrakło konserw z lososiem. W biurach stukają maszyny do późnego wieczora, idą w świat zamówienia. Fabryka silników będzie pracowała na trzy zmiany. W Łodzi przyjęto nowych robotników, którzy od roku byli bezrobotni: wieczorem kupują wódkę i kiełbasę i siedząc wokół stołu trzając się kieliszkami:

— Pójdzie na lepsze!
Lato jest gorące, powietrze leży ciężko na ulicach. Po krótkich chwilach niepokoju wygląda się powierzchnia dni, jak woda na stawie.

Na Powislu bawią się dzieci na chodnikach i jezdnich. Wieczorem przed bramami domów siedzą ludzie, czekając aż zapala się latarnie, wiatr przywieje od Wisły wilgotny dobry chłód, szare, wielkie domy oddychają wieszakami oknami.

— Podrożała słonina, — mówi praczka, chowając pod fartuch ręce wyżarte sodą, — i mydło droższe...

Codziem o tej samej godzinie płyną te same skargi. I dziś jest dzień jak każdy inny.

— A po czemu kartofle?
Ktoś wyjrzał przez okno naprzeciwko. To „ona”, ta dziewczyna. Opodal przy słupie latarni stoi młody człowiek. Czekając. Odruchem się plecami do ludzi przed bramą, ale wszyscy wiedzą, że czeka na nią. Wyjdzie do niego? Upudrzyć się, ubierzcie i pójdą razem? Pytania narzucają się pełne natężonej ciekawości, zapada w niepamięć słonina, mydło i kartofle, niedawno chodząca z innym i mówiła: „mój narzeczony”. A teraz z tym? Z nieznanym? Z niewiadomo jakim? Wieczorny wiatr powiewa chłodniej i mocniej, wymiata za szpar bruku spieczoną ziemię i dmucha ją gniewnie przed sobą. Sklepiarka wyjrzała ze sklepu i machnęła ręką:

— Pójdźcie z nim...
Dziewczyna, która pracuje w fabryce żarówek, obruszyła się:

— Niewiadomo.
Ktoś wchodzi do bramy.

— Co tam słycać, panie Antoni?
Zabili w Gdańsku polskiego celnika. Wiadomość przychodzi zniemacka i toruje sobie drogę powoli. Jest interesująca. Ale mało ważna. W wesołym tygodniu w fabryce wpał jeden do roztopionego żelaza.

— O widzicie! Okno zamknęła! — mówi namiętnym szeptem żona dozorca domu.

Praczka wyciągnęła ręce spod fartucha. Sklepiarka stanęła w drzwiach sklepika. Odrzucając się leniwie pan Antoni dodaje:

— Mówią że Niemcy odesłali Polakom jego ciało, ale dla despektu włożyli do trumny obok nieboszczyka słomę i pustą puszkę z konserw...
— Co? puste puszkę?
Nad ulicą zachodzi słońce, zdaje się jakby pośródku stanęła otwarta trumna, nachylają się nad nią wszystkie głowy, gorączkowe palce wyrzucają ze środka słomę — gdzie trup? — nie można znaleźć ciała polskiego celnika, zabitego przez Niemców, tylko pełno jest w trumnie pustych puszek — zachodzące słońce rzuca czerwony poblask, i zdaje się jakby niebo i ulica zaklejone były czerwonym papierem, jak etykietami konserw.

Gaśnie dzień, zapalają się światła, gdzieś gra radio, od Wisły idzie zapach wody i zdala świszczy cicha syrena holownika — celnika pochowano już dawno w Gdyni — pod latarnią młoda dziewczyna kołysze się w biodrach i miękko wsuwa rękę pod ramię mężczyzny, lecz kobiety sprzed bramy zapomniały spojrzeć ku niej, bo czas jest kolacji, i znowu idąc po schodach skargą się dziś jak każdego innego dnia:

— Podrożała słonina i kartofle.

Lato było gorące, i wypadki zapadały szybko w niepamięć. Pozostawał tylko znak zapytania, który kładł się na tygodniach i miesiącach, schowanych za węgłem przyszłości. Wyglądało to tak, że ktoś zamawiał węgla na zimę i twierdził, że jeśli będzie wojna, to lepiej mieć węgla w piwnicy. Kiedy mówiono o kimś, kto wyjechał za granicę, znowu wyłaniała się jego sylwetka w podróznym palcie z walizką w ręku, jak coś dziś jeszcze bliskiego co odsuwa się w nieznaną, co się oddziela od gromady i tonię. Wyjechał? — a jeśli wybuchnie wojna? W miejskim parku w cieniach alejkach snuły się zakochane pary i nad brzegiem stawu, pod opadającymi galeziami wierzby przysięgały sobie miłość wieczną. Dziewczyna przywierała ciałem do ramienia młodzieńca i muskając wargami jego ucho, szeptała:

— A jeśli wybuchnie wojna?
Kiedy brano rezerwistów na letnie ćwiczenia, żony, żegnając mężów, tak jak ich żegnali każdego roku, teraz w ostatni uścisk wtrącały pytanie:

— A jeśli będzie wojna?

Wschody i zachody słońca były spokojne, różowe, i dnie między niemi niebieskie i złote, woda na Wiśle lśniła wielokolorową łuską, codziem o tej samej porze ludzie

wychodzili do pracy, codziem o tej samej porze wracali, węgla przywieziono i zaladowano do piwnicy, z zagranicy nadchodziły pocztówki i listy, rezerwicy z ćwiczeń donosili o swym dobrem zdrowiu, młodzi, ścisnąc sobie dłonie, stwierdzali, że nie chcą się rozłączyć — u bramy parku białe ubrania sprzedawcy lodów wykrzykiwali: „Lody Pingwin! Lody Pingwin!”, ludzie zatapiały zęby w słodką chłodną, ulepioną na patyczku masę. Niepewność przyszłości wplotła się w dzień dzisiejszy, stała się jego częścią, jak tramwaje biegnące przez ulice, które za chwilę staną na jakimś przystanku, jak taksówki czekające, które za chwilę wyfruną z postojów, jak budzik, który się nakręca, w budzik jutro rano.

W wielkim gmachu mówiono o wojnie, jako o rzeczy możliwej, prawdopodobnej, nawet niemużliwej. Kiedy ilość aktów wzrastała na biurkach do wielkich stosów, kiedy koniec biurowej pracy zastawał te biurka bardziej zawalone „koszulkami” aniżeli były rano, urzędni i, zamykając je do szuflad, zbiegając schodami i zgnęając się uściskiem dłoni, nachylali się ku sobie i szeptałi:

— Nie wierzę...
— Bluff...
Wieczorami gmach był pusty. Długie ciemne korytarze zdawały się wydłużać się w nieskończoność, wieść w ciemną pustkę. Gdzieś tam jeszcze sprzątały woźni, wycierali posadzki i biurka, wysypywali z koszyków nagromadzone masy papierów. W jednym pokoju człowiek pracował. Okno było otwarte, światło lampy padało na stół, ręka biegła szybko po papierze, litery wyrastały pod piórem ostre, czarne, oblepiały białe stronic równomiernie szeregami, tylko wyloty linii biegly w dół, zdawały się zmierzać ku ciemności leżącej na ziemi. Przeczytał napisaną stronę, zgniół papier, przedarł i wrzucił do kosza. Pisał stronę drugą. Jeszcze szybciej i jeszcze ostrzej stawił litery. Przedarł i wrzucił do kosza. Trzęcia i czwartą. Ktoś wszedł.

— Przepraszam — rzekł woźni i wycofał się.

— Możecie sprzątać... dość już będzie na dzisiaj tej roboty.

Człowiek zamknął biurko na tajemny zamek, wyszedł z pokoju, szedł młocnym krokiem przez korytarze, zbiegł ze schodów, ulica była cicha i ciepła od minionego dnia, pachniały drzewa rosnące w wykojach asfaltu, zdala dochodził oddech Warszawy.

Wozny sprzątał pokój, wytarł posadzkę i biurko, wysypał papiery z kosza i cztery zmięte kartki wysunął do kieszeni.

Na Marszałkowskiej ulicy przelewała się leniwie fala ludzi, przystają przed bramami kin i oglądają foty — Erich von Stroheim, bohater szpiegowskiego filmu, nieci naprzód tajemniczym ubraniem i groźnym wyrazem twarzy — to kicz, mówią ludzie, chcą więcej realizmu, więcej prawdy życiowej i wybierają film z życia amerykańskich milionerów. W małym barze na rogu ulicy ktoś wstaje leniwie od stołu, ścisnąc długą rękę towarzysza, pozostawia mu w dłoni kartki papieru, gdzieś w zacisznym mieszkaniu czerwona żarówka rzuca ciemno krwawe refleksy na ścianę białej lazienki, w labwo płóczę się płyty fotograficzne, na końcu miasta w willi otoczonej młodemi jabloniemi kręci się cicho walec ronea i wypuszcza Geheimbefehl nr. 2240, w urzędzie poezycznym ktoś nadaje telegram, że operacja matki odbędzie się jutro o 11-ej, do hotelu przyjeżdżają nowi podróźni, w restauracji ktoś mówi o pogodzie i między upał dnia i chłód nocy wtrąca, że raporty są we właściwych rękach, w domu nad Wisłą, na czwartem piętrze, skąd widać mosty i lewy brzeg rzeki, lampa stojąca na biurku oświetla jasnym kołem cztery zmięte, przedarłe kartki. Na Marszałkowskiej, na Nowym Świecie przelewała się fala ludzi leniwa, zmęczona minionym upalem, świecą czerwone i zielone światła neonów, zapalają się i gasną reklamy, nad ulicą stoją wielkie słowa: „Najlepsza jest czekolada Plutos”, litery wybyskują jedna po drugiej, „N-a-j-l-e-p-s-z-a”, ktoś mówi z przekonaniem:

— Nie będzie wojny...
Kurt Gneisen podlepił kartki starannie, wyglądził, przytrzymał przyciskiem, zapalił papierosa i podszedł do okna. Rzeka widoczna była tylko jako pasmo ciemności, obramione szeregami świateł, zdala na moście latarnie tworzyły gwiaździsty łuk, konstelacje latarni zdawały się być kątem wtopionym w ciemność, nad którą stały konstelacje gwiazd. Z nawyku, z wewnętrznej potrzeby Kurt rozjeździł się po pejzazu starannie, jakby liczył latarnie, jakby sprawdzał czy gdzie nie plonie jakieś światło dodatkowe, choć wiedział że nie zobaczy nic nowego, że w tym głupim kraju, wśród tych głupich ludzi nie się zmieni do ostatniej chwili. Dozorca domu będzie mu się kłaniał nisko za każdym

ryk oburzenia, dziewczyny chórem wyrażają lek. A śpiewak — nazywa się Zarabe i jest kochankiem Benacehiny! — nuci dalej:

Vazaha nie kocha jak mężczyźni, Lecz przy kochaniu ślimi i gryzie jak pies. Idź do niego, Benacehino, a wróciś bez ust!

Idź do niego, Rasoa, a wróciś bez piersi! Czy wiecie, dlaczego vazaha ma złoty ząb? Psy szekają, gdy cheą gryźć, Vazaha gryzie złotym zębem, Gdy chce kochać... Cieleż wysysa mleko z wymion krowy, Vazaha wysysa krew z ust dziewczyny. Czy mi wierzycie, eeej!?

Niema wątpliwości, że chodzi tu o mnie. Bzdury zadrznego Zarabe śmieją mnie, lecz zarazem i niepokoją. Niepokój: są to zatrute strzały, rzucone w grono podnieconej młodzieży, strzały niebezpieczne dlatego że nie powstrzymuje ich żadna tarcza, żaden pułker; za tym nocem zbiegowisku nie mam żadnej obrony.

Następnego dnia każe przywołać do siebie Natrike, autora pieśni o strusiu, i w obecności nauczyciela Bevezahy wyrażając podziw dla jego dowcipu i talentu, proponuje mu przyjaźń i współpracę: za każdą pochwalną o mnie piosenkę zapłacę mu sute honorarium, dziesięć franków. Młodzianowi iskrzą się oczy, lecz powstrzymują go jakieś wątpliwości. Wkońcu wyjawia je zazenowany:

— Czy vazaha rzeczywwiście... je usta dziewczyny?

— Ani mi się śni!! — odpowiadam stanowczo. — Mam lepszy pokarm: suchary! — Suchary vazahy są stokróż smaczniejszej niż najlepsze usta dziewczyny!!! — potwierdza mocno Bevezaha i ostatecznie przekonywa młodego śpiewaka.

W dwa dni później, o północy, Zarabe złącza się jak zwykle nad moim złotym zębem, szarpacym usta wszystkich dziewczyn świata, gdy ktoś zakłada mu śpiew i nie dopuszcza młodzieży do chórów: rywal Natriko. Natriko rusza do walki i śpiewa:

Zdmuciwający — jest złoty ząb vazahy, eej!
Olbryzi — jest nos vazahy!
Czy wiecie, dziewczyny, co to znaczy, eej? Vazaha urodził się ze złotym zębem, I jego ojciec miał już złoty ząb, I jego dzieci urodzą się ze złotym zębem... Vazaha ma olbrzymi, wielki nos...
Trącam nauczyciela i szepczę zgorszony: — Natriko chyba zgłupiał! — Nie zgłupiał! Wspaniale śpiewa! — zachwycia się Bevezaha. A Natriko ciągnie:

Nic nie rozumiem. A Natriko ciągnie:
Gdy vazaha kichnie nosem w Ambinanelo, Gubernator w Tananaryi drzy ze strachu

fabryki przez niego połyślane, aż prze-fruną nad nim jego maszyny, aż wody oceanów porysują jego statki, aż krag istnienia objęty będzie czterema ramionami swastyki. Było rzeczą wspaniałą czuć się jedną z milionowych cząstek tej wielkiej germańskiej siły, punktem w niezmiernie sieci organizacyjnej, być pylem na drodze, po której przejdzie gigantyczny czółg wodza. Była jakaś niemal fizyczna rozkosz w niesamowitej wizji, że pod gasienicami wodzowskiego czółgu zgrzytać będą jego własne kości.

Kiedy chodził ulicami Warszawy, nauczył się płuć przed siebie, jak tego nie czynił nigdy w Berlinie. Miasto było mu wstępne i jeszcze wstępniejsi byli mu ludzie. „Dumm, unsinnig dumm” — syczał przez zęby i pluł. Był to jakiś gatunek stworzeń poddulkich, napoły dzieci, napoły zwierzęta, koty lub plazy. W pierwszym okresie pobytu w tym kraju zachlisywał się pogardą, ale potem spostrzegł, że przeskądza mu to w pracy. Odrotnie, należało podtrzymać — o ile to jeszcze było potrzebne — głupią lekkomyślność i bezmyślność ludzi, z którymi się stykał, i w tym celu nie demaskować swych prawdziwych myśli. Przeszawił się. Wynalazł sobie jakiś uśmiech niby dobotwily, niby przyjacielski, jakiś gest ręki szeroki, okrągły, który kończył się poklepywaniem po ramieniu, nauczył się nawet wymawiać bulgotliwie „I”, „syczeć „cz” i rozjaśniać bliskiem wesołości oczy w chwili kiedy brało go obrzydzenie. Niekiedy, chodząc ulicami Warszawy lub odbywając spacer nad Wisłą, chwytał się na ten, że urządził to miasto po swojemu: więc nierówne bruki Powisla zastępował gładkim asfaltem, wyrównywał linie domów, usuwał stare rudery i zastępował je kolosalnymi gmachami, przystawiał niekiedy nieświadomie i zapatronywał w jakąś nieznaną twarz, uśmiechał się do niej, jakby to był już jakiś przodny chłop z Prus Wschodnich lub uczący mieszczanin z Meklemburga. Ale wtedy powiedział sobie: halt! Na granicę tych marzeń wyrastało coś w rodzaju pozytywnego stosunku do tych ulic, do domów. Ich bieg, ich formy przylepiały się do oczu, do mózgu, zdawały się nabierać znaczenia, i przesądzać formy przyszłości. Wyłączał kontakt od tych myśli, niepotrzebnych zresztą i nie mających żadnego aktualnego celu, przerażał je i zwrocił się ku wizji bliższej i wspanialszej.

Teraz, stojąc przed otwartym oknem swego pokoju, zapatrzone w ciemność obisaną światłami od dołu i gwiazdami od góry, marzył przez chwilę swój najpiękniejszy sen. Marzył bombę, który jak letni deszcz spadały bez przerwy na spieczoną ziemię jego snów, marzył luno pożarów, które w taką noc jak ta otoczą miasto wieńcem, marzył huk i wybuchów i nie przymrużając oczu, patrzeć ostrym wzrokiem na cichy gwiaździsty pejzaż, widział wyraźnie, jak rozpadają się domy, jak kruszą się mury, jak zapadają się dachy, jak cegły i kamienie biją w zbitą oślepłą gromadę ludzką, deszcz przelaniał jego ciało i czuł, wyraźnie czuł jak pejąca czaszki, lamią się przetrącane kości i mokra miążga wytryska z gruzów.

Był to obraz tak podniecający, że wstrząsnął się lekko, odrzucił papierosa i zawałał Hilde. Uchyliła drzwi ostrożnie, bojaźliwie, uśmiechnął się do niej, i dopiero wtedy podszedł do niego. Chciał ją objąć, przyciągnąć ku sobie, ale wyszła z pokoju i wróciła po chwili, trzymając obręcz talerz.

— Sieh mal Männchen den schönen Pudding! Das muss du mal kosten... — uśmiechnęła się swym zwykłym bladym uśmiechem i pokazywała czerwona galaretkę, uformowaną we wzorzystą górkę, lyżeczką odgarnęła kawalek i podawała mu do ust.

Jeszcze ciągle radosny, położył rękę na jej szerokiach biodrach, podniecony, rozchylił wargi i przyjął jej dar, patrzyła na niego z niepokojem, jakby czekając wyroku, nawet usta jej poruszały się w takt jego jedzenia, przez chwilę zamajaczyło mu wspomnienie jak siedzieli razem nad brzegiem Wannsee, a ona rzuciła półgłosem: „Ich weiss nicht was soll das bedeuten”... gładził jej gładkie jasne włosy. Nagle, czując na języku mdły malinowy smak galaretki, ziryntował się na nią, że jest głupia, że nie nie rozumie, że sprzdruje przed płaską jak deska, odepchnął ją od siebie, ale potoczyła się do drzwi i pytała przerażonym, łzawym głosem:

— Niedobre? przecież to dla ciebie zrobiliam...
— Mach dass du wegkommst — burknął. Cofała się... ale jeszcze w otwartych drzwiach zalała się łzami:

— Ty zawsze taki jesteś, nie można ci dogodzić... sżłochała, — ja jestem dobra dla ciebie, ja wszystko dla ciebie robię, piore ci i skarpekci ci certię i gotuję dla ciebie zdrowo i higienicznie...
— Szut! — krzyknął, i zamknęła drzwi. Przejrzal raz jeszcze kartki. Czerwone znaki zapytania, postawione na marginesie, znaczyły miejsca gdzie informacje okazywały się za mało szczegółowe. Wydał wargi pogardliwie: „Ta swinia myśli, że się wykrepi ogólnikami... postawisz mi tu wszędzie jeszcze cyfry, powiesz ile... dokładnie... i to będzie sprawzone”. Teraz trzeba się zabrać do innej roboty. Trzeba napisać raporty, które przetłumaczone na język polski i przepisane na urzędowym papierze, znajdą się już jutro rano na ministerjalnym biurku.

— Hildo! — krzyknął.

Natychmiast stanęła w drzwiach.

— Heil Hitler!
— Heil Hitler! — odpowiedziała, stając na baczność i podnosząc rękę. Siadła do maszyny bez słowa, wsunęła papier i kalkę i spojrzala mu w oczy, czekając jego słów.

ARKADY FIEDLER

GORĄCA WIEŚ AMBINANITELO
GŁODNA KREW^{*}

Wieczór w Ambinanelo zaczyna się wielkim krzykiem żab na ryżowisku, krzyczących jak namiętny tłum ludzi, a już potem świerszcze świszczą przeraźliwie, nocne ptaki cmokają, zbudzone owady szumia, na wszystkich górskich stokach i w całej dolinie podnosi wrzawę wszelka głódna zgraja. Coraz natarciwiej wyraża swą wieczorną żądzę, a najgłośniej, najchwiej krzyczą ludzka młodzież. Někana dojeżdżająca plicą, zbiega się nocami na skrajach siola i tam swe podrażnienie zmysłów topi w opętanej bicia bębna, w bezustannym tańcu i oguszającym śpiewie. Jest to odwieczny zwyczaj Malgaszów, według którego od niepamiętnych pokoleń księżycowe noce należą do młodzieży. I jest to tylko zgiełk fermentującej krwi, lecz zdaleka słyszy się jakby najdziki wrzask wojennego szczerpu.

Boję się tych wrzasków. Trwają przez całe noce, skoro tylko księżyc świeci, i często budzą mnie z najgłębszego snu. Wtedy, wśród niezrozumiałych słów śpiewu, słyszę niepokojący wyraz: „vazaha”, i następnego dnia brązowi chłopcy patrzą na nas, dwóch białych ludzi, złośliwie, a dziewczyny unikają naszego wzroku. Nocne śpiewy kryją wrogą tajemnicę.

— Co oni o nas śpiewają? — wypytuję się dobrych znajomych we wsi.

Same wymijające odpowiedzi. Wójt Rajaona udaje lisa i rzekomo nic nie wie, Makoa Benarado wzdryga ramionami, a stary Dzarivelo, mój przyjaciel, rzeczwiście mało co wie: zapatrzone w dal, kocha tylko swe widmo lasu.

Nauczycielem szkółki w Ambinanelo jest Bevezaha, człowiek ze szczerpu Bet-simisaraka z Tamatawy. Drobny, potulny i dobry człowiek. I on nie dokładnie wie wie, gdyż ma żonę i nocę spędza we własnym domu. Był dotychczas nieuchwytny dla mnie jak wszyscy we wsi. Lecz od kilku dni Bevezaha stracił spokój i oddał się wielkiej namiętności: zasmakował mych sucharów. Nikt w całej dolinie Ambinanelo chleba nie je, chleba nie lubi nawet wójt Rajaona, krzewiciel postępu. A oto z ryżowego kregu wyłamuje się poczciwy Bevezaha i wpada w potrawę: staje się niewolnikiem mego chleba i powolnym narzędziem mej woli.

— Muszę wiedzieć, co oni o mnie śpiewają! — mówię zniecierpliwiony do niego.

Dziś o dziesiątej w nocy wschodzi księżyc, i krótko potem odzyskują się zwykłe śpiewy. Idziemy w ich kierunku na skraj wsi i zastajemy tańce już w pełnym

*) por. „Biada zwycięzcy” w nr. 10, „Mimoz” i „Malgaski koguz” w nr. 28/29, „Owady się modlą” i „Kameleon” w nr. 31, „Wzgórze Benitowskiego” i „Barwna śmierć” w nr. 34, „Las jest moim przyjacielem” i „Pajaki i modliszki” w nr. 38, „Duch Benitowskiego” i „Magia przyrody” w nr. 45, „Wiadomości Polskich”.

*) Z powieści „Polska jesień”.

ARKADY FIEDLER.

STEFANJA ZAHORSKA.

ŚMIERĆ WALICKIEGO*)

Walicki odebrał sobie życie.
Są może ludzie, którzy takie rzeczy umiają przewidywać i zapobiec złemu, dla mnie było to taką niespodzianką życiową, że gdy wpadł do mnie zadyszany Andrzej i krzyknął:
— Kazik, bój się Boga, Walicki się obwiesił —
odpowiedziałem mu narazie:
— Klamiesz!
— Musiał mi to dwa razy powtórzyć, zanim uwierzyłem. Wtedy dopiero klusem puściłem się przez ulicę, rzucając Andrzejowi krótkie pytania:
— Kiedy?
— W nocy.
— Nie żyje już?
— Nie.
— Co robi panna Helena?
— Krzyczy, szpajnuje. Okropności!
— Doktor był?
— Był, kiej już czoło stygło.
Przechodnie usuwają się nam z drogi i patrz na nas jakby ze współczuciem.
— Nareszcie wpadliśmy do mieszkania.
I tu już dużo ciekawych się znalazło, jak wtedy przed fabryką i przed szopą: zwiertrzyli niebezpieczeństwo.

To chyba pierwsza okropna wskazówka rzeczywistości. Drzeź już zaczynam, gdy patrzę na ich niby smutne a ciekawe twarze.
Andrzej wepchnął mi prawie gwałtem do pokoju. I tu go ujrzałem: wynalazcę radjomotru, twórcę nowej epoki. Na łóżku leżał wyprężony, ze wzduchem, sinemi policzkami, z napór rozchylonymi wargami, błędnymi oczami, utkwionymi uporczywie w sufit. Głowa wtył się przechyliła, ręce w pięci ściśnięte, nogi sztywno wyprostowane: to śmierć prawdziwą, nieomylną. Tłumaczył ją małymi zębami okropności o szyję.
— Na tym haku — mówi Andrzej, wskazując na sufit.
— Patrz na sufit, a w głowie jak grzechotką mi kolacze: czemu on to zrobił? czemu?
— Kartka jest — mówi Andrzej.
Na małym świstku papieru drżąca ręka wypisała byle te słowa: „Swinejerner kłamię. To nie była dynamo... Helu, dziecko moje, nie przeklinaj mnie. Każdym nie zapominaj o sierocie. Mnie ktoś tamto z myśli wydarł. Nie wiem... nic”.

Do pokoju wszedł jakiś obcy człowiek i zwrócił się do mnie po niemiecku z zapytaniem, czy jestem synem zmarłego.
— Profesor — szepnął do ucha Andrzej.
Przybysz popatrzył na trupa badawczo, ujął go pod brodę i spojrzal mu w oczy, jakby w nich ostatnią myśl chciał wyczytać.
— Manjak — mruknął do siebie.
Andrzej nie zrozumiał dobrze, a obcesowość profesora nie podobała mu się.
— Czego? — bąknął.
— Manjak.
— Co on plecie? — zwrócił się Andrzej do mnie.
— Profesor wrzucił ramionami i rzekł:
— Radjomotr? Boże kochany! Dziwak, dziwak...
Kazał sobie przeluczkować ostatnie jego słowa. Usiadł potem u nóg trupa i zamysłił się głęboko.

Pogrzeb odbył się na trzeci dzień z kaplicy Dzieciątka Jezus. Za karawaniem szło kilkunastu robotników, panna Helena, ja z Michasiem i profesor. Ten przybył do Warszawy na nieustanne prośby Lafera. Jechał, śmiejąc się w duszy, w nadziei, iż zobaczy kilkunastu warjatów, wynalazców nowego „perpetuum mobile”. Przyjechał i ot co zastał: zamiast historycznej maszyny — kupę śmiecia, a zamiast genjusza — trupa. To złośliwe zrzadzenie losów sprawiło, że spoważniałem. Celemi dniami przesiadywałem nad trupem, rysował, wyliczał i zwracał się co chwila do okrażających łóżko:
— Manjak-psychopata.
Ci nie rozumieci i odpowiadali na uwagi poboznym westchnieniem.
Przyszedł nawet na pogrzeb, czem zjedł sobie niesłychanie Andrzeja i jego towarzyszy.
— Szwab jest — mówił do Stasiaka — ale porządną człowieka.
Kazali mu iść za karawaniem, tuż obok mnie i panny Heleny, sami zaś szli zbita gromadką o kilka kroków dalej.
Prowadzę pannę Helenę pod rękę i widzę przed sobą tylko czarne frendzle karawanu, wlokące się po ziemi. Chwilami stracił któryś z karawanarzy popiół z pochodni i budzi mnie tem z zamysłenia. Przyskiam silniej ramię panny Heleny i czuję, jak ona drży na całym ciecie. Michasia prowadzi profesor za rękę.
Wychodzimy za rogatki. Dzwon powązkowski wita już zdaleka nowego przybysza pięsną pogrzebowa.

Gdy grudy ziemi głucho uderzyły o wieko, Hela wybuchła szpajnującym płaczem:
— Ojczel! ojczel! — powtarza bez końca.
Za chwilę stanął skośny czworobok z błyszczącą blachą wetkniętą u góry: pogrzeb ukończono.
Pannę Helenę trzymamy razem z profesorem i próbujemy daremnie ją uspokoić. Świeżą mgieł otoczyły robotnicy i trzymając czapki w rękach, powtarzają słowa modlitwy.
Andrzej nachylił się ku mnie i szepnął:
— Dryndę sprowadziłem. Odwieźćcie ją do domu.
Wsadził nas do dorożki: mnie, Helę, profesora i Michasia, sami zaś poszli do szynku.
— Wypada — mówił mi Stasiak, szukając widocznie usprawiedliwienia. — Koniecznie wypada. Taki już obyczaj.
— Dokąd oni idą? — pytał mnie profesor, gdyśmy z miejsca ruszyli.
— Do szynku. Taki u nich zwyczaj.
— Aha — odparł tolerancyjnie.
Andrzej i Stasiak stanęli na schodach szynku i żywą gesticulacją zapraszali kolegów do środka. Mieli przytem obaj smutne i poważne miny, jakby sprawiali smutny obrządek.
— Panowie, na syrek! Wypijem za spójkę duszy poczciwego Walickiego.
Drażnił mnie ten widok niesłychanie, i byłem zadowolony, gdy dorożka skręciła w boczną ulicę. Ona siedzi nieruchoma z

*) Z „Fachowca”.

opuszczonym na twarz woalem.
— Spi? — zapytałem profesora.
Poruszył przecząco głową.
W mieszkaniu, na widok pustych pokoi, rozplakała się znowu. Profesor wymknął się cichaczem i zostawił nas z Michasiem.
— Panno Heleno, moja droga... niech się pani uspokoi.
— Wnet jednak wydało mi się to banalne i zamknięte. Ona schwyła mnie za rękę i pyta tak cicho, że ledwo mogę dosłyszeć:
— Dlaczego?
— Panno Heleno...
— Po krótkiej pauzie szepce:
— Sama jedna...
— Ja pani nie opuszczę nigdy w życiu.
— Czytał pan?
— Czytałem.

Uścisnęliśmy się za ręce.
Próbuję namówić ją do snu. Ona zdaje się nie słyszeć tego i porusza wargami, jakby mówić coś chciała. Nagle rzuca mi się na szyję, przyciska głowę do moich piersi i wybuch serdecznym, niepowstrzymanym łkaniem.
Wraca profesor i przynosi z sobą lekarstwo na sen. W krótkich słowach udaje mu się nakłonić ją do zacycia prosku. Skutek był prędki, gdyż w pół godziny zasnęła twardym snem. My zaś przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie siedział zdziwiony i przybity Michaś.
— Kto to był ten pan, co go chowali?
— pyta.
— Mój nauczyciel.
— Chodźmy Kazik do domu — prosi wyczerpany tem wszystkim co widział.
Profesor daje mi drugi proszek i radzi, bym go zażył, przyszedłszy do domu.
— Wyglądaś pan okropnie — mówi. — To zbyt silne naprężenie nerwów. A ręka boli pewnie jeszcze?
— Na stole spozostzegam kartkę Walickiego, i to zwraca myśl moją do zagadkowego radjomotru. Nie namyślając się tedy długo, pytam profesora:
— Niech mi pan powie krótko i wżwotowo: czy to możliwe?
— Krótko i wżwotowo: nie.
— Alez kiedy... kiedy to nie mogła obierać dynamo...
Wrzucił ramionami.
— Grób niejedną zamknął tajemnicę.
— Wcale niemożliwe? — pytam niezmiernie.
— Ha, dla podniesienia puchu na grubość włosa — tak, ale dla obracania kilkunastu maszyn...
— A próba?
I znów poruszył ramionami.
— Mnie się to wszystko snem wydaje. Alboście wszyscy powarjowali, albo tylko on jeden. Wreszcie on sam mógł wierzyć w to, pomimo że sam... A zresztą, bo ja wiem... Wobec ludzkich ówieków wszelka nauka milczy. Słuchajno pan. Miałem ja kiedyś przyjaciela Polaka, który pilnie studiował wasze gazety. Człowiek ten co miesiąc przysyłał mi tego rodzaju nowiny: wynałaził u nas plyn do gaszenia pożarów, zbudowano ster do balonu i t.d. Jaki plyn do gaszenia? Wyrażnie woda. I nie innego być tu nie może. Nie,— powiada,— plyn. Po miesiącu pytam o ten plyn i otrzymuję w odpowiedzi, że „jakoś nic nie piszą”. Wy musicie być tu bardzo wynalazczym narodem!
Nierozumie mi to zaczyna.
— Ależ on mógł zrobić wynalazek, genjaly wynalazek.
Kazał mi usiąść obok siebie i uderzając mnie po kolanach, mówił:
— Młody przyjacielu, czy pan myślisz, że i my marzyć nie potrafimy? Nam tylko trudniej, znacznie trudniej, niż wam. Gdy frumiemy w niebiosach, prawo Newtona ściągamy nas na ziemię; prawca arta i dotyku przypominamy nam, żeśmy ludźmi; gdy krzywo stąpniemy, cofamy wnet nogę, wiedzając, że wedle prawa równowagi przewróćmy się niechybnie. O, nam trudniej marzyć, a zwłaszcza mnie. Spójrzj pan, jużem posiwał. Domyślam się, że pana bliskie węzły łączą z tym domem, i bodaj przeczuwam, że pan zaczniesz kopać w zgłiszczach, szukać resztek, by owo wielkie dzieło światu pokazać. Daj pan pokój; z tego nic nie będzie. A wreszcie, co tu mówić. Nato, by zrozumieć, jak dalece to jest niemożliwe, trzeba dużo, bardzo dużo wiedzieć...
— Węc on był warjatem?
— Prawie.
Tu urwał rozmowę i zadał mi pytanie, czem się zajmuję i gdzieś szkoły kończył. Moje odpowiedzi wywołują nowe zdziwienie. Kiwa głową i mruczy pod nosem:
— Ależ dobrze... po skończeniu szkół... słusarka? Nie może mi się to w głowie pomieścić.
— U nas, panie, inne stosunki. Takich ludzi potrzeba.
— Ludzie pracy? Toż to wprost metafora, przeluczkowana niezgrabnie na rzeczywistość. Czyż inni nie pracują?
— Ale jak pracują?
— Ee... I czy pan sądzi, że pan społeczeństwu szkodzą?
— Tak sądzę.
— Hm... Może być. A czy pan nie tęsknisz do książki?
Przypomniałem moje artykuły i zmieszaliśmy się nieco. Profesor uwanie patrzy na mnie, głodzi się po brodzie; wreszcie zęga mnie słowy:
— Wracam do Berlina z bardzo dziwnym wrażeniem. Nie myślałem, by o czternaste godzin od mego laboratorium tacy ludzie mieszkać. Wiesz pan, jak u nas patrzają na fabrykę, słusarkę i tym podobne rzeczy? Jako na ciężkie przekleństwo losów. Tu idą dobrowolnie z uniwersytetu do fabryki, budują radjomotry, zbawiają ludzkość... Marzyciele! Warjaci! Ale dziwnie sympatyczni warjaci. Dowiedzenia, drogi przyjacielu. Dowiedzenia...
Wybiegłem za nim na schody i przechylając się przez poręcz, wołałem:
— Panie profesorze, ostatnie słowo. Czyż jakimś ludzkim sposobem zrobić tego nie można? Czy nigdy, nigdy?
— Nigdy? Tego nie powiedziałem.
— A teraz?
Zatrzymałem się i spojrzal na mnie tak ciepło i życzliwie, jak matka nieraz patrzyła. Potem smutnie zwiesił głowę i rzekł zwolna lecz dobitnie:
— Nie.
Za chwilę znikł w bramie.

Po latach dwóch, gdy wybuchnie nowa wojna Napoleona, a więc i Księżstwa, z Austrią, na pierwszą wieść o tem rzuci się Dąbrowski w bryczkę, i tym razem dla pospiechu najlżejszą, a odmienając co miła konie po wsiach, pedzić będzie dniem i nocą do Warszawy, by tu z miejsca zawrócić, powiadają niektórzy, pod Raszyn. Był może przypadkowo świadkiem, jak dwukrotnie a śmiertelnie został ranny ten, co w swych wierszach ujął mu chwały na wieki. I jak ksiądz Józef uznał się swym atakiem na grobli pod laskiem falęckim. — Z Godebskim zresztą pogodził się już był dawno; ledwie stanąwszy na ziemi polskiej, wżwał go z Warszawy pruskiej do Poznania: mimo urazy głębokiej wyczuwał w nim serce czyste i bodajże najpłomienniejsze w kraju, a więc potrzebne mu w obliczu powstania. Taka była jego pamiętliwość krzywd.

Tą porą wszakże nie myślał napewno ani o pocie padłym w polu ani o głównodowodzącym brawurze oficerskiej. Jeśli z tak nagłym pospiechem zameldował do browolnie komenderującemu en chef, sprawiła to głębsza nad ambicje wszelkie troska o Rzecz.

Może przeczuwał, że gdy po tej wstępnej z polska brawurze raszyńskiej przyjdzie na żalnosie opuszczenie Warszawy, naonczas całą tą wojną (na ziemiach polskich przynajmniej) pokieruje nie kto inny, tylko on sam. Na rzecze wojennej w Zegrzu narzuci wszystkim swój plan działań. I nie zwlekając, przedrze się w zbrataniu przez nieprzyjacielskie podjazdy z powrotem do Wielkopolski, by z tego wtedy rezerwuaru najsprawniejszych wrychle żołnierzy ściągając nowego rekruta. W nieprawdopodobnie krótkim czasie powróci już na czele wojska. I będzie wraź był najeżdżać swą metodą wojny szarpanej pod Łęczycą, Rawą, a najdzielniejszym w tej wojnie ramieniem Sokolnickiego — pod Górą Kalwarją; niezadugo i świętynie jeszcze pod Sandomierzem (gdzie pokpił wprzód sprawę sztabowic księcia, uczonej Fiszer). Temi uderzeniami bocznymi i zagrożeniem tyłów w Galicji wykurzył już po miesiącu Austriaków z Warszawy. Swą zaś niezwłoczność działań „w dobre skoncentrowany celu” (jak mawiał; „wołą zwycięstwa” — mówi się dzisiaj) udzieli wojsku całego legjonowego impetu, błyskawiczo decyzyj i hazardu.

Wojna, wrychle tak krwawa na północny kraju (pod Górą, naprzykład, po wdarciu się w okopy austriackie zamiast się bitwa w rzeź wzajemną na bagnety, z której uszły jedynie dwie barki nieprzyjaciela, zatopione zresztą na Wiśle), wojna ta wydała się Aleksandrowi Fredrze w Galicji, „spacerem wojskowym i zrywaniem łatwych wawrzynów”. Książę Józef bowiem, który tam dowodził, kierując się niewczesnymi względami polityki, starał się stwarzać fakty dokonane przez zajmowanie jak największych obszarów.
Rozstrzygnęło wszystko, jak wiadomo, zwycięstwo Napoleona pod dalekiem Wagram. — Księstwo powiększyło się wdwój nasób.

Napomknijmy tu jedynie o ponurej, iście San-Domingowej znowu służbie, tym razem Legji Nadwiślańskiej oraz kilku innych pułków polskich, walczących wtedy za Pirenejami. (Słowo „Polacci” budziło w tamedniej ludności groźbę nie mniejszą, niżli w kraju do niedawna zakrzyk: „Kozaki”, a „los inferno” z Polski przeklinali po latach wielu kobiety i dzieci Hiszpanji). Ten najtraficniejszy dla ówczesnego pokolenia rozdźwięk równoczesnej walki o wolność własną i o niewolę cudzą przetrzascał serce przewyciężyły romantyzm, który owładnie legendą o legionach, wywyższając w niej wszystko co chmurne, groźne, dalekie i napoleońskie.

Tam za Pirenejami — dantejskie „inferno” po dwakroć burzonej *Saragossy*, lub niedościgała brawura bohaterów *Somo-Sierry*; tu zaś w Polsce, gdzie Napoleon poznał „piaty żywioł” przyrody: błoto, gdzie koniopotne drogi „stępów polskich” wiodły tak niedawno jeszcze wojska jego od niechlujnej mieściny żydowskiej do drugiej jeszcze brudniejszej — tu, pożał się Boże: *Radzymin, Rawa, Góra Kalwarja, Łęczycza*...
A jednak imiona tych miasteczek — „chwały odtąd niepożytej”, wierzli klasyki — płonęły czerwonymi głoskami u murów w on triumfalny po zwycięstwie dzień Warszawy: 11 listopada 1809 r.

Ostatni u nas historyk tej wojny, skłonny przypisywać księciu Józefowi jak najwięcej w niej zasług, powiada mimo to o Dąbrowskim: „Może to jego duch wiódł pulki Poniatońskiego do zwycięstwa? może on sam lepiej to uczynił? a napewno lepiejby poprowadził organizację wojskową w Galicji. Jednak do największych jego zasług zaliczyć trzeba te właśnie, że umiał się wyrzec z dobroczynną rolą, narzucając mu przez wypadki, spełnić całą siłą swego geniuszu i serca”.

Drugie z tych słów można by zastosować i do księcia Józefa, pierwszego niesiosb. Całą wielkość serca okazał Poniatoński po katastrofie 1812 r., gdy wbrew namowom i perswazjom postanowił powieść dalej wojsko polskie za Napoleonem. W tych chwilach najtraficniejszych dla siebie wahań będzie po dwakroć kierował broń nabitą przeciw sobie, odrzucił ją przeciw: uchylił w myślach wraz z rozpaczą i podszepoty rozpaczy polityki narodu, który tonął: pójdzcie za głosem wszystkich instynktów swego rycerstwa i godności narodowej. Pozostawił też po sobie nową

*) Z „Nurtu”.

DĄBROWSKI*)

w Europie legendę o Rolandzie. Ludowi zaś francuskiemu przekaze — po Dąbrowskiego zapomnianych już walkach w obronie Republiki — bardziej tam pamiętnie memento: jak to przeznaczenia Francji kojarzą się nieuniknienie z losem Polski. Stanie się tej łączności symbolem nieledwie.

W legendzie swojskiej natomiast spocznie dość obrazkowo: jako wcielenie „udałości polskiej” — wraz z jej nieodłącznymi wtedy atrybutami: czapką hulańską nabakier i baczkami pod nią. W najosobliwszym przeciwieństwie do tej ikony narodowej uwieczniono go dłoćo cudzoziemca szablono klasycyzmu: zapożyczona postać Marka Aureliusza na koniu kapitołińskim — figurą na placu. Historia dopiero, i to dni naszych zaledwie, wystawiła mu pomnik godniejszy — nad francuski rapsoz o wiernym wasalu, nad legendę u nas obrazkową i nad cudzoziemski spiż.
Wróćmy jednak do Dąbrowskiego w r. 1809. I w tej wojnie zrobił on swoje, choć „zwycięskiego wodza” — mógł się spodziewać melancholijnie — oczekiwać będą w Warszawie bramy tryumfalne. I wiersze.

Wieczorem onego dnia wjazdu księcia do Warszawy trupa impc. Bogusławskiego miała zaszczyt dać na Teatrze Narodowym uroczystą reprezentację dla pp. oficerów. Zaczęła się ta gala od apoteozy *Wskrzieszenia i Zbawcy* w purpurowej zorzy, a w syku ogni bengalskich ukazała się na scenie wielka herma Napoleona.

Pod orłem cesarskim z berlem w szponach piętrzą się w lunie krwawej rzeźbione sny sztandarów, bagnetów i armat zięjących; gdzie spojrzeć, szable i różgi litorskie, spowite wawrzynem, niezłoczone litery N, każda w wieńcu chwały, sfinksy na przypomnienie kampanji egipskiej, oraz laury w festonach — górą unosi się wiecznie „genjusz sławy” z trąbą archaniołską. (Brak tylko księcia Józefa na koniu i Chrososa z smętą klepsydry, zanim się to wszystko nie uwieczi u nas jako „styl Księżstwa” i nie omieszje sentymentem pokoleń).

Ledwie ścicha kantata wielka na chór i kapele, gdy „w obłoku” wpłynie na scenę postać kobieca w hełmie rzymskim i pancernym; gdzie spojrzeć, szable i różgi litorskie, spowite wawrzynem, niezłoczone litery N, każda w wieńcu chwały, sfinksy na przypomnienie kampanji egipskiej, oraz laury w festonach — górą unosi się wiecznie „genjusz sławy” z trąbą archaniołską. (Brak tylko księcia Józefa na koniu i Chrososa z smętą klepsydry, zanim się to wszystko nie uwieczi u nas jako „styl Księżstwa” i nie omieszje sentymentem pokoleń).

Ledwie ścicha kantata wielka na chór i kapele, gdy „w obłoku” wpłynie na scenę postać kobieca w hełmie rzymskim i pancernym; gdzie spojrzeć, szable i różgi litorskie, spowite wawrzynem, niezłoczone litery N, każda w wieńcu chwały, sfinksy na przypomnienie kampanji egipskiej, oraz laury w festonach — górą unosi się wiecznie „genjusz sławy” z trąbą archaniołską. (Brak tylko księcia Józefa na koniu i Chrososa z smętą klepsydry, zanim się to wszystko nie uwieczi u nas jako „styl Księżstwa” i nie omieszje sentymentem pokoleń).

Natura dług oczeka, tysiąc wieków strawi. Nim się drugi dla Polski Napoleon zjawi

— zapamiętam koniec tylko. Okrzyki przedzwycięstkiem dam w lożach: „Niech żyje Cesarz!”, zaczęły wiwaty tłumy, oficerów przężne, jak trzeba, zerwanie się na baczność — zapadła kurtyna. Występuje przed nią „antreprenier” Bogusławski z Minerwą i autorem ody, klanjącej się rozklaskanej publice.

Rozejrzywszy się w czas paury po sali i lożach, sposepnili coś oficerowie. Poczeli kupić się na korytarzach i szepać między sobą półgębkiem. Nagle jakby ich targnęło: wszyscy, ilu ich tu było, opuścili teatr, by ustawić się na placu Krasinskiich w milczącym oczekiwaniu na przybycie Dąbrowskiego. I stali tak w tę noc listopadową bez płaszczów i palaszy, w mundurach „balowych”, jak te żalobniki niemie pod czarnymi pierogami swych kapeluszy obryzmich. Wieść o tej zrywce oficerów dobiegła go na miesiąc. Zaniepokojony przyjechał niezwłocznie i sfukał ich na wstępie. A przecie z nim dopiero naczele powrócił do teatru, obciążając na nim mundur i poprawiając mu szablę przydługie zwisanie na pasie aby się widział ludziom jak należy. Na scenie podjęto spektakl przerywany. Wystawiono zapewne skolei „tragedię narodową” autorki znakomitej. (W onych czasach ryerskich każda autorka była znakomitą).

Uczciła Dąbrowskiego młodzież wojskowa, jak w ówczesnych okolicznościach uczcić go jedynie mogła: gestem — sumienia głosem niemym.
Było wtedy w Warszawie narodu sumienie drugie, bardziej cierpliwe i stateczne: ośrodek i ognisko duchowego życia nie tylko wolnego Księżstwa, lecz zaborów pozostałych: Towarzystwo Królewskie (Przyjaciół Nauk). Okryło się ono żalobą świeżą, straciwszy w tej wojnie Godebskiego. Dla podwójnej pochwały poległego posiadzenie w kaplicy sztabu. Zamieniło się ono w uczczenie zwycięskiego wojska, a ustami Staszica — nadeszły wszystko tych, którzy szablę i duchą narodu zratowali z ruin byłej Rzplitej — Dąbrowskiego i legjonów jego.

Działo się to zresztą pod jego nieobecność: wymknął się już dawno do swej żółdowej Winnogory. Miał dosyć Warszawy. Dość zwłaszcza jej parad, festynów, spektakłów... A wszędy dam znakomitych wciśbstwa. (Nie znosił tego w stolicy polskiej i Napoleona).

Wszystko zaś co mu się nazbierało w duszy, co o księcia Poniatońskiego zwi-

erzchnictwie i o swojej pod nim służbie mniemał zdawna, wypowiedział był w liście doń — „z całą otwartością” — jak zaznaczył na wstępie:
„... Gdyby zniszczone ten wielki cel, jakim sięś sławi, i tę największą nagrodę, jaką miłość własna znajduje we własnych czynach, Alexander Wielki i Napoleon byłiby kapucynami... Jestem gotów, Mei Xiążę, do ostatniej kropli przelać krew za ojczyznę, lecz nie mam tak wygórowanej cnoty, żebym czuł potrzebę być albo narzędziem cudzej sławy, albo ofiarą niewiedomości...”

A że mowa wiązana wyrwa nieraz ku całkowitej otwartości i najbardziej zatajone „czucia”, więc stary miłośnik poezji rzucił księciu w tymże liście i to wzywianie, w którym wypowiedział się cały:
Kochoam sławę. I nie zmilezę dłużej. Prawym znojem żywota ten tylko zóid plują. Kto nie śmiał sięgnąć po nią, nie godzien jest chwaly.

Rozdźwięki między starym i nowym wozdem trwały doostatka. Należał Dąbrowski do tych, którzy na zły koniec wrożyli pochodowi r. 1812; nalegał przed Poniatońskim na pozostawienie w kraju zatajonych rezerw kadrowych i ukrytych zapasów broni. Otwarta zawsze przybliża księcia nie pozwalała mu wdać się w te zamysły podziemnego działania. W ogromie armji narodów, idącej na Rosję, wojska Księżstwa, rozdzielone w niej i rozproszone z umysłu, odegrały — w tej „wojnie polskiej” jakoby — rolę uboczną i mimo olbrzymich strat, mierna. Dąbrowskiemu przypadło w udziale osłanianie ponownie odwrotu Francuzów, tym razem nad Berezyną właśnie. Tamże znów ranny, zjawił się w kraju późno, gdy Poniatoński zdecydował już był dalsze cofanie się z Napoleonem. Nie pozostawało mu nic innego jak pociągnąć za wojskiem — pod Lipsk.

Po śmierci Poniatońskiego „wozdem Polaków” został mianowany ks. Sułkowski Paweł.
„Zgroza najwyższa objęła wszystkich umysły — powie Prot Leleweł. — Powtarzano: „Jakto? ten, który bezprzestanku służył wiernie sprawie jego (Napoleona), który poświęceniem swem tyłe przyczyniał się do jego tryumfów, którego czyny nad Berezyną i teraz w obronie Lipska rzeczycywiście zasłonił armję od większych klęsk — człowiek ten obecnie odepchnięty, zhańbiony! kiedy i prawa starszeństwa i prostej sprawiedliwości nie miano na względzie. Co mógł zawinić Napoleonowi? Czyżby on ułaki się patryjotyzmu Dąbrowskiego?”

„Z tem czarnymi myślami za armją postępowałyśmy dalej. Czas deszczowy, droga śliska, lub błoto rozrobione. Przy osłabionych siłach po tyłu nocach bezsennych wlokłem się wśród kolegów niedoli. Tak dostrzegł mnie przejeżdżający Dąbrowski, przystanął do nas. Serdeczny żal ścisnął mnie... Bo cóż za wyraz ogromu bóleści był na nim wyryty! Ileż to on naraz utracił! klęska, odjęte znaczenie i upadek sprawy”

Tu nastal też jego wysiłków dziejowych kres; wszystko inne było już tylko przystosowaniem się do nieuniknionych okoliczności klęski w nieustannej myśli ratowania resztek wojska. Nadziei związanych z Aleksandrem nie podzielał; za Królestwa wycofa się ostatecznie z areny publicznej. Mimo to nie przestanie do ostatniego tchnienia, w obliczu oficjalnego wojska polskiego pod Konstanytem, myśleć o związkach istotnie opornych sił narodu, choćby je na czas długi przysło ukryć — w podziemiach. Ponad głowami starych towarzyszy broni zwiąże się znów z duchem pokoleń idących.

Zatajony w nim samym mu działają, do którego „z całą otwartością” przynal się Poniatońskiemu? — ów „genjusz sławy”, jak z koturnu antycznego przemawiali klasyki? — ta „dziśka żądza posmiertnego żalu”, jak smętnej i bierniej mównicą będą romantycy?...

Poniatoński stanął posagiem konnym w samym sercu stolicy; na niedawne stulecie śmierci Dąbrowskiego upamiętniono go tabliczką na ratuszu Warszawy, którą po dwakroć obronił od nieprzyjaciela. Zanim cała doniosłość jego roli dziejowej nie uprżytomniła nam historia — znowuż doby naszej dopiero! — najwyższe echo jego legendy odezwało się z Litwy, która nawiedził jedynie w pochodzie. Będzie ten mały występ z ostatniej księgi „Pana Tadeusza” jedynym jego pomnikiem.
„Wiersze”, na które był tak czuły, poezja, późniejsza zwłaszcza, przemiliły były za Godebskim. Lepszą pamięć o nim zachowała proza epicka, idąc jak gdyby za wezwaniem Staszica sprzed lat stu z okładem. Wprawdzie wszyscy niemal wybitniejsi powieściopisarze nasi podejmowali kolejno wielką legendę legjonów, usuwali oni jednak zawsze osobistość Dąbrowskiego na tyły, w głąb ta dziejowego, zadowolając się bardzo mgławicowym rysunkiem jego postaci dla tem większego reliefu zmyślonych osób powieści i romansu. Ale jest to zwykły los legendy. Nad głównego bohatera i sprawcę chwili dziejowej wybujało życie, jakie stwarzał. Stało się to już w wspominkach i gawędach pamiętnikarzy legjonowych; a na tej właśnie kanwie snuła dalej swe przedże barwne wyobraźnia pokoleń. Dla zmyślonych Odyszeuszów zamierała pamięć o Troi.

Baczycy jedynie na sad ludzi najbardziej wartościowych — zalecał sobie w życiu po tylekroć (dość spornie zresztą z nurtującą go żądzą chwaly). Tego też jedynie uznania docełał się doraznie — za Księżstwa — od tych, którzy podobnie jak on sam umieli „myśleć i działać nadal”. Imieniem Polski myślącej złożył mu wtedy hold Staszic sam, wiefcąc już nie oręż po tylekroć zwycięski, nie wielkość jego dziejowych utrudzeń, tak wrychle daremnych, lecz jego zasługi nad wszystko trwałe. Uczeń i nim Staszic:
... meża zadziwiającej stałości, który pierwszy po zroborach rozpoczął dzieje odradzania się narodu polskiego, będąc tego odrodzenia nie tylko głównym czynicą, ale oraz i pisarzem”

EPILOG*)

Wracajcie do domów — romans już skończony.
Ta jest powieść o duszach tułaczych i o ducha człeczego wiecznym nieukoju „in figmentis” rzeczy dalekich wam tu wiernie opowiedziana. Sobie i wam wiernie. A i w czwórton, jaki gęśle poddały: — w trubadurski, żonglerów, gołjardowy i mniusz ton, by kamieniem postawili wam — błędnych rycerzy, wędrownych igrców, klerków i żaków, oraz wędrowników wedle ducha.

Pomnę... Jeszczem siewła do szymb okiennych wczasem nie gład, gdy na podwórze zaszli raz waganie. Szalone „Bakche”! brzmiało nieomal w halasie moim na domy cała. I z oczyma dziecka u szyby, widziałem... Tak cudnie było, że opowiedzieć tego nie potrafię dziś wcale: brako może w duszy tych najwzjęszych kolorów radości pierwszych. Może kto z was widział ich również zamłodu?... Ten przypomniał mi ich wraz ze mną, że ani skoczki już między nimi nie było, ani gędca, lub śpiewaka, ani żonglera, ku opowiadanu romansów, ani poety z gęślą... Węc smęt mnie dziś ogarnia nad tem, że od czasu śmierci gołjarda tak się owo rozbiła, rozproszyła rodzina cała. Ta już tylko uboga gromadka kugłów, z silaczem i symfonistą włoży się po świecie. — Daj im Boże zarabiacz igrą na chleb powszedni!

My zaś towarzysze Muzy, — którzyśmy dawniej razem z tamtymi po świecie chadzali, a dziś, w odosobnieniu nieufnem, ślęczymy, każdy, po izbach ciastnych, by „lucrare scribendo panem nostrum”, — czem my lepsi dziś od tamtych poprzedników naszych? czem godniejsi przed ludźmi?... Gołjard, mimo licznych grzechów, był przed ludźmi czelkiem postokroć wolniejszym niżli my dzisiaj, skoro najbardziej respektowanym osobom w mieście odważył się powiedzieć na rynku, że są wocbec Muz „rudes et idiotae”. Wprawdzie zastawili go sobą towarzysze, obronił rycerz. Za nami nie umiemy się napewno towarzyszyć żaden, nie wstąpi w szranki żaden rycerz błędny. Toteż i wolności ducha naszego nie takie dziś wolne, i szyje nie takie zuchwale. A spragnione usta wędrowników do innej przykladamy dziś czary: niepokój piersi tułaczych koimy najskuteczniej i w pierwszej strugi powodzenia... Bo czyż budzą się w nas one ducha troski a nieukoje wyzwycające wiaż do nowego szukania szukaniem? Hej! ledwie za żakowskich i waganickich lat, gdy nas wodził po świecie zwid rycerzy błędnych na księżycu! — zanim te mieszczan córy, a potem żonka i bachory, te baldachy i pierzyni ludzi osiadłych, nie nauczyły... respektowania respektowanych i pomiatańia tem wszystkim, co się w grze życia nie wygrawa kartą. — Daj Boże i w tym grodów smutku zarabiacz Muzy na chleb i szacunek powszedni!

Wy zaś, Muzy Terspsychory panie dziśsijsze, nie pogniwajcie się za waszą przodownicę przed wiekami: za skoczkie płażącą po rynku grodkim. I przez wgląd bodaj na te brylanty dziś wasze, darujcie jej ona suknie z nędy, tej jej rozpuście, nieopatrznie ladażaką — w której i największe podonczas ladażacze zachowywały się do dziecka, nimfy i matki zarazem: ową nieśpięłą wrażliwość kobiety! Onaż to czyniła nieraz i z takiej nawet — królówce cygaństwa, ślepą żórawicę ziemskiego piękna, na czele igrców sztuk wszystkich, po gońcicach swobody i beztroski!

A wy, żaki dziśsijsze, z paznokciami poogbrzyzaniami od pilnego czytowania ksiąg — którzy wedle ducha przedewszystkiem szukacie, by najgórniejszym lotem zerwać się do życia... „nunquam permanentes”! Nie znajdę dla was w sercu lepszego zyczenia nad ten żórawiany krzyk zapomnianego *arcpyocy*. Nie znajdę ponoć i bardziej płońskiego: osiadlicy rychło i wy — osiadłością wedle ciała i ducha.

Wam zaś, słuchacze miłośni, za te grosze w mą czapkę na lawie składane, a bardziej za serc waszych czujność w zasłuchaniu — to jedno powiem naostatku.
Omylił się preoz w wróżbnych obliczeniach swoich. Pokolenie Chrystusa apostołowo, jako siewne, liczone być nie powinno; ziarno dojrzewało w następnych, osłobienie od czasu nawrócenia Pawła. Tedy do wróżnego r. 1800 jeszcze jedno pokolenie z ducha, czyli lat 30, dodacby wczas należało. Dziś zaś uszczyni w tem i druga poprawka niewielka, licząc od onego czasu, gdy papier Grzegorz dobył nas z omyślności Cesarzowego kalendara... Zatem: — Duchą królestwa na ziemi: rządy najwolniejszej i najbardziej oświeconej żródeł poznania — nastana... Obliczcie sami, lub co łatwiej: spytajcie błędnych rycerzy czasów naszych.

Gotyckiego tumi strzelistości podniebna, rzuciła — gdyby ciem przecz wieki — tajń dziwnego prorocwa na głowy naszego właśnie pokolenia. I nawszak tym, którzy i dziś bruchem do ziemi przylgali, nawet u kłójki samego wrót, wywiódła, z kosiola jakby bram, żywe spiż rycerzy błędnych, — wiarą w starcie smutków z oblicza ziemi, w odnowienie serc zcłęcznych!

A jeśli i was omyła obliczenia wróżbne, a zawiadła znów rycerzy oblicznie — niechże ten ich duch, odradzający się na ziemi wiaż, uczani nam dążeniem wszelakie do ludzi osiadłych... Może to lepiej nawet będzie, jeśli nie dozekamy się ziszczenia królestwa Duchy, gdy wzamian pozostanie nam dążenie? Niełaczno odnawiają się serca z nawykniętych uczucia, myślenia i posiadania. Węc lepiej to może będzie, jeśli nowe niebo czasów przyszłych zająsanie nad głowami dzieci naszych? gdy stare niebo i ziemia stara — miną wraz z nami.

*) Z „Żywych kamieni”.

KALENDARZ KIESZONKOWY
NA ROK 1941

Cena 1/9

JAMES JOYCE

O TRADYCJI W ANGLII

Już się ukazała

PLACÓWKA

Bolesława Prusa

cena 4/6

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers), LTD.,

36, GREAT RUSSELL STREET, LONDON, W.C. 1

28, KING EDWARD STREET, PERTH

Sprawa, o której się nie mówi, a o której powinno się krzyczeć

W nr 43 „Wiadomości Polskich” jeden z ministrów polskich zamieścił artykuł rzadko mądry, przewidujący, niezbędny. Ciesze się że może tak o tem pisać, albowiem, niestety, nie posiadani owej cennej właściwości, tak częściej u Polaków, tak powszechnie u polskich dziennikarzy, entuzjastycznym są w zapas i wyprzekł każdemu ministerstwu wypowiedzeniem, każdem słowem opatrzonem w „mirodajną stampilkę”; gdyby miał ów talent, zapewne i życie w Polsce i życie na emigracji posiadałoby uroki, niezakłócone monotonią o byle co i od byle kogo. Artykuł, o który chodzi, który nazwałem i mądrym, i przewidującym, i odważnym, i — zwłaszcza — potrzebnym, to artykuł ministra Jana Stańczyka o Rosji sowieckiej w tej wojnie.

Masa żołnierska, obozy wojskowe, nie przeprowadzają rozróżnienia pomiędzy jednym i drugim naszym wrogiem. Rozróżnienia tego nie zna też tak zwana przyszłość narodu, t.zn. młode pokolenie, które wszędzie gdzie się znajduje, czy tu w Wielkiej Brytanji, czy we Francji, czy w Szwajcarii, czy gdziekolwiek, tak samo nienawidzi Hitlera jak nienawidzi Stalina, tak samo uważa za wrogów narodu polskiego Niemców jak bolszewików. Również wszystkie oświadczenia Rządu stawiają sprawę Polski wobec Rosji narówni ze sprawą Polski wobec Niemiec. I w Kraju, i na emigracji, masa narodu polskiego jest w swoich poglądach zupełnie jednolita. Walczymy, jak to sformułował choćby Słonimski, nie tylko o niemiecki dzisiaj Kraków, ale i o sowiecki dzisiaj Lwów. Kochamy Północn tam sam sercem jakim kochamy Wilno.

Anglicy są w wojnie z Niemcami, a gdy chodzi o Rosję, daliby wiele by wciągnąć ją do wojny po stronie Anglii. Odwrócić raczej tę sprawę — Anglicy są zupełnie dostatecznie powiadomieni o tem że hitlerizm jest wrogiem ludzkości a zaczynają być coraz bardziej uświadomieni i co do tego że Wersal, stawianie na jakichś „inne Niemcy”, nadzieje na demokrację w tym znacym kraju są do złudzenia, złudzenia niebezpieczne, w nie ma powtórnie nie wolno już wpaść. Tu niema jak wiele do poczucia. Tu wiele zrobiono i bez nas. Warto — i trzeba — przypominać że myśmy pierwsi stawili opór, że w wszystkich krajach w niewoli brumnej, Polska stawia Niemcom opór najsilniejszy, jest traktowana najgorzej, gorzej niż Czechosłowacja która uległa, Francja która skapitulowała, Norwegia gdzie znalazł się jednak Quisling. Warto wyjaśnić Anglikom sprawę Rosji Wschodnich, tego bastionu junkrów, prusactwa, reakcji, podmywanej przez lud pochodzenia polskiego. Warto ich przekonywać do myśli że wspólna granica polsko-czeska nad Odrą byłaby jednym z warunków trwałego pokoju. Ale wykazanie że hitlerizm to zagrożenie świata, a Niemcy i hitlerizm stanowią praktycznie jedno, jest zadaniem naogół dokonanym. Natomiast co do Sowietów, wszystko jest mgliste.

Co do Sowietów wszystko jest mgliste najpierw dlatego że zagadnienia kontynentalne nigdy nie rysowały się w myśli brytyjskiej ze szczególną wyrazistością, że najdalej skrawki ich barwnego imperium były im zawsze bliższe niż Saara, niż Sudety, o Wilnie nie mówią. Wszystko jest mgliste dlatego jeszcze że wielu Anglików posiada sympatię liberalną dla każdej rewolucji, a więc i sowieckiej, że rewolucja francuska była w życiu Francji, a wignanie Stuartów lub Cromwell — w życiu Wielkiej Brytanji czynnikami postępu, a nie zalaniem narodem. Dalej, kolos rosyjski wydaje im się siłą zdolną do zgniczenia Niemiec, sojusznikiem politycznym, którego pozyskanie przyspieszyłoby koniec wojny.

Wreszcie, jeśli chodzi o wschodnie ziemie Polski, Anglicy uważają je za etnograficznie niepolskie i wyciągają stąd wniosek że są one etnograficznie rosyjskie. Propaganda sowiecka pracowała jeszcze nad wykazaniem że rozbiście Polski było już dokonane w momencie kiedy armie sowieckie przekroczyły granicę traktatu ryskiego, że Sowiety nie odegrały tu żadnej roli, przeciwnie, uchroniły ludność pobratymczą od germańskiego jarma.

Otóż artykuły takie jak ministra Stańczyka mają te ołbrzymie zasługi że przynajmniej w naszym środowisku rozrywają owe złoza igrastwa. Przedewszystkiem stawiają Rosję sowiecką w rzędzie totalitarnych dyktatur, gdzie jednostka jest wzyta ze wszystkich, gdzie standard życiowy jest w dodatku zastraszająco niski. Po drugie, że niszczą legendę jakoby Rosja sowiecka stanowała za swą armią, przemysłem, patriotką, jakkolwiek potęgę militarną. Prawdziwym atutem Rosji jest jej przestrzeń, ale to nie jest zdobyca genialnego Stalina. Na tem wszystko się kończy. Sowietkie samoloty i sowieckie czołgi nie zdały egzaminu ani na polach Hiszpanji, ani na przemykach fińskich, nawet przeciwko Polsce Sowiety nie zdobyły zmobilizować na czas (tak że Niemcy nie dochowały w stosunku do nich swą pierwotną umowę i linię demarkacyjną przesunęły do linii Wisły, gdzie miała być pierwotnie, jak to nawet zapowiedział radio sowieckie we wrześniu, na linię Bugu, gdzie jest teraz). Wojna, jaka toczy się obecnie, jest wojną przemysłową. Potrzebuje przemysł zna-

komie zorganizowanego, doskonale wyposażonego, o fachowym personalu pracowniczym. Nawet na stanowiskach majstrów, nie mówiąc o inżynierach, pracowali w Rosji do końca cudzoziemcy. Skargi na nierzetelność produkcji, na niedokładność, na złą organizację, ukazują w pełni niedomagania sowieckie.

Wreszcie należy Anglikom powiedzieć, że jeśli uznaje się nasze ziemie wschodnie, przy ich silnym zaludnieniu polskimi, za etnograficznie niepolskie, to uważanie ich za rosyjskie jest takim samym błędem jakimby było uważanie Holandji za niemiecką. Są to ziemie — jeśli już tak cheśmy — etnicznie białoruskie albo ukraińskie. Kraje te, o tradycjach odrębnych państwowości, usiłowały powrócić do niepodległości w r. 1918, ani w r. 1919, a w tem mniej szczęśliwie niż Polska, Finlandja, państwa bałtyckie. Mimo to Rosja Lenina musiała im dać pozor samistości i stanowiska odrębnych „republik” w swym „związku”. Kraje te w żaden swobodny sposób nie były zapytywane, ani w r. 1918, ani w r. 1939, a w chwili wkroczenia wojsk sowieckich tyśiące działaczy ukraińskich, którzy za czasów polskich żyli tam spokojnie, uciekać musieli na zachód, czem nie dali dowodów zbytnej ufności do Rosji. Można, przeciwnie, sądzić że mając do wyboru pomiędzy Polską a Sowietami, ołbrzymia większość ludności ucieknęłaby Polce, zwłaszcza od czasu gdy straszliwe obniżenie się poziomu życiowego, masowe wywołania do Turkiestanu, przesładowania religijne, weszły w pełni w życie.

Wreszcie byłoby najpożytejsze uswiadomienie Anglików co do racji sowieckich „dając” na Anglię i sowieckiej miłości do Niemiec. Nie jest to, niestety, takie zawile. Rosja jest poprostu krajem którego kierownicy zdają sobie jak nikt inny w świecie sprawę z całej słabości tego kolosu na glinianych nogach zwłaszcza wobec potęgi niemieckiej. Bolszewicy wiedzą, że odziedli ich od Niemców płytki i wąski Bug, a nie kanał La Manche, wiedzą że czołgi, które we wrześniu szły sprawnie po złych drogach polskich, pojadą jeszcze sprawniej po stepie rosyjskim. Dlatego Rosja widziała z radością wojnę wewnętrzną europejską. Dlatego podsyłała ją w Hiszpanji, cieszyła się na nią w 1938 r. w Czechosłowacji, umożliwiła ją w Polsce. Hitler, który w istocie boi się ryzyka, nie byłby poszedł na Polskę, nie byłby wywołał pożaru światowego, gdyby nie zapewnił sobie zgory poparcia Sowietów. A Sowiety dają mu to poparcie, bo liczyły że dzięki temu zwyciężymy wojna na Zachodzie, wojna która rujnuje Zachód, osłabi go, uczyni mniej niebezpiecznym. Wobec Anglii, co poddająca się urokowi jego niesamowitego świata, język

Stalin się w tem pomylił. Wojna roku 1940 nie była wojną typu 1914, wojną pokojową, osłabiającą. Przewalila się przez granice i fortyfikacje, dosięgła Pirenej, zniszczyła zupełnie armie francuskie. Dziś Hitler jest sam w Europie. Walczy z Anglią, ale walka z Anglią toczy się na samoloty i łodzie podwodne, nie na czołgi. Czołgi Hitlera, artylerja Hitlera, wojsko lądowe Hitlera, wszystko to ma dzisiaj wolne ręce. Stalin, pomagając do zniszczenia Polski, do zniszczenia Francji, popełnił olbrzymi błąd. Znalazł się sam na sam z Hitlerem. Wie czem to pachnie, ale też już do końca poki mu się uda będzie grał ta samą grę, będzie u siebie naradzenia się Hitlerowi, nie wyjdzie do wojny po stronie Wielkiej Brytanji, będzie dostarczał wszystkiego czego Hitler od niego zażądał i będzie to czynił dopóki sam Hitler nań nie uderzy. Bo Stalin jest panem mocearstwa na glinianych nogach, i wie o tem.

Wojna odsłania zbyt wiele złudy, aby nie miała odsłonić i złudy sowieckiej. Przyjdzie dzień kiedy nie będzie Anglika, któryby nie wiedział że życie w Rosji sowieckiej jest koszmarnem ludzkiego istnienia, że wojskowa potęga sowiecka jest mitem defilad, że „niezrozumiałe” stanowisko Sowietów wobec wojny europejskiej miało za przyczynę niesychaną słabość Rosji wobec Hitlera.

Być może, że ci co dzisiaj to mówią, będą w tym kraju źle widziani, pomawiani o stronniczość, o reakcję, o Bóg wie co. Ale kiedyś właśnie ich zdania się przypominą, im przynależnie, ich autorzytet się utwierdzi. Minister Stańczyk postąpił jak dobry socjalista, odnajując swój ruch polityczny od kierunku, który także na socjalizm się powołuje a jest jego tragicznym i cynicznym wypaczeniem. Minister Stańczyk postąpił jako człowiek przewidujący, bo powiedział: „wy wierzyć w siłę Sowietów, ja w nią nie wierzę”. A wreszcie minister Stańczyk postąpił jak mąż stanu który nie leci na popularność, nie wymłazuje otwartych dawno drzwi, nie mówi rzeczy przyjemnych, niedrażliwych, ale mówi — właśnie potrzebne. A pozatem wszystkim, ten człowiek, który przetrwał milczenie o Lwowie i Wilnie, którego myśli leci z Londynu na stepy Turkiestanu, do obozów w Starobielisku, do cel na Butyrkach, i nie rzuca na ten świat polskiej meki mgli londyńskiego milczenia, postąpił jako prawy, śmiały, prawdziwy, pamiętający Polak. Historia zapisze ten głos, oczekiwany, zdecydowany, jedyny.

GRABIEC.

Pisząc przed dziesięć laty na łamach „Myśli Narodowej” o literaturze współczesnej Irlandji, podkreśliłem znaczenie, jakie piśmiennictwo irlandzkie miało dla ugruntowania się poczucia narodowego Eire. Lwia część jednakże autorów irlandzkich pracowała i żyła w sferze języka angielskiego; w nim tworzył J. M. Synge, surowy dramaturg, pieśńa doli prostych ludzi z „glenów”, poeta dziełkich wysp arabskich, w nim pisał swoje maeterlinckowskim duchem owiane, przesubtelnione dramaty W. B. Yeats czy Lady Gregory. Podziśnięci pisarze irlandzcy korzystają z dobrodziejstw wspaniałego języka angielskiego (Byrne, O’Flaherty i in.), wiedząc że otwiera im świat. Niewielka stawka autorów pisała kilkanaście lat temu po irlandzku; jakkolwiek dzisiaj ilość ich jest napewno większa, to jednak wszystkie nazwiska wysokiej klasy ciąży dalek ku językowi angielskiemu.

Ruch Młodej Irlandji, który porównać można do ruchu Młodej Polski ze względu na mnogość talentów, cheiwość i ciekawość prądów zagranicznych, przedewszystkiem francuskich, wreszcie i ze względu na wspólną epokę (były one równoległe w czasie), przypominają światu, że geniusz celtycki jest nieznośny i że odrodził się po wiekach milczenia. Milczenia czy raczej utajenia, skoro zasiał on tak wydatnie piśmiennictwo i wyobraźnię narodu angielskiego. Wiele stoczono dyskusję na temat, ile Anglja zawdzięcza owemu tajemniczemu zaczynowi, temu „Celtic element”, który wykrywa się w zylach tyłu twórców angielskich. „Celtic element”, jak pisałem przed laty na łamach „Przedłu Wschodniego”, ocenając twórczość Yeatsa (w przekładzie Józefa Birkenmajera wyszły jego wybrane utwory w zbiorze „Biblioteki Laureatów Nobla”), to przedewszystkiem większa wrażliwość zmysłowa, żywsze odczucie barw i dźwięku, większy polot wyobraźni, podkład mistyczny. U Yeatsa „Celtic element” wystąpił bardzo silnie, u Synge’a nabrał on cech, które skłoniłyśmy nazwać skandynewskimi. U Jamesa Joyce’a, o któregoż zgonie doniesiono niedawno z Zürichu, tajemniczy zaczął celtycki, to przedewszystkiem niezwykły lot fantazji, śniadne erupcje wyobraźni.

Joyce, jedno z wielkich nazwisk współczesnej literatury angielskiej, był samotnikiem jako pisarz i jako człowiek. Stał zdala od takich czy innych szkół czy prądów; z młodą Irlandją nie wiązał, sprawa irlandzka go nie pasjonowała. Żył dla sztuki, sympatje swoje umiescił we Francji, gdzie czuł się najlepiej. Postępującą ślepotą sprawiała, że odosabniał się coraz bardziej, że sztuka jego stawała się coraz bardziej ezoteryczna, dziwaczna, niedostępna. Tworzył własny język, własne zwroty, osobliwe zbitki słowne, grymasy i arabski językowie; jego ostatnia powieść, która zwała się w czasie pracy nad nią bodaj „Work in Progress” a potem miała zwać się „Anna Plurabelle” (w rezultacie wyszła jako „Finnian’s Wake”), to księga dosłownie zamknięta na siedem pieczęci. Jak słusznie pomyślał jeden z krytyków, każdy krytyk „musi być pobity w starciu z tym autorem”. Krytyk nie rozumie z tego dzieła więcej aniżeli przeciętny laik. Książka Joyce’a (podobno pisał nowy tom w latach ostatnich, niedokończony spowodu zgonu) napewno nieprędko znajdzie interpretatorów; wątpię, czy znajdzie kiedyś tłumaczy na obce języki.

Tłumaczenie Joyce’a jest zadaniem jeżeli nie niemożliwym, to w każdym razie skrajnie ryzykownym. Pamiętam jak przed parą laty jeden z wydawców polskich postanowił wydać przekład „Ulyssesa”. Uświadomiłem go, że honorarium, jakie musiałby zapłacić tłumaczom (wyobrażalem sobie te roboty jako pracę zbiorową), zrujnowałoby zupełnie kupiecką kalkulację. Joyce jest nowatorem, jest twórcą „prywatnego języka”, jak mówiono w Anglii. Nawet dla tych, co potrafią wejść w język Joyce’a, co poddają się urokowi jego niesamowitego świata, język

Joyce’a jest groźną przeszkodą. To coś jak krzyżówka, w której odgadliśmy tylko parę słów, ale całości złożyć nie potrafimy. Wydaje się, że Joyce był przekonany, iż pracując dla przyszłości, dla czytelników jutra — nie dbał on zbyttnio o współczesność.

Zaczął tomem „Dubliners” („Dublinczyce”), który zwrócił zaraz uwagę swoim wyrazistym stylem, ironiczną obserwacją, skłonnością do zalamywania charakterów w krzywym zwierciadle sarkazmu. Potem przyszedł „Portret artysty” (wyszł w polskim przekładzie Allana, wydanie „Roju”); spowiedź dziecięcego wieku, szczerzy obraz młodości chmurnej i górnej, dokonanie dojrzałe, opowiane. Widzimy już tam elementy talentu Joyce’a, widzimy załzki i rafy jego twórczości, ale nie jeszcze nie wróży erupcji „Ulyssesa”.

Nad „Ulyssesem” pracuje Joyce bodaj siedem lat. Ma to być jego „magnum opus”, jego credo artystyczne, przełomowe dzieło epoki. Jak do rozpalonego kotła, ciska tam swoją pasję językową (był przez te epoki nauczycielem języków i wyniósł z tej pracy zamieszanie do szperania w źródłach słów, w formacjach i nawarstwieniach języka), swoje oczyszczenie klasyczne (Joyce jest filologiem klasycznym wysokiej próby), swoje zapędy malarskie i muzyczne. Ale to jest dopiero materiał, glina, tworzywo, z którego urabia pracowicie przez lata, wdrując z kraju do kraju, z Francji do Włoch i Austrii, swojego „Ulyssesa”. Szkieletem, na którym rozepnie swoją kompozycję, będzie nowe pojęcie powieści. Porównanie z marlarstwem jest tu może mylne: „Ulysses” przypomina raczej wielotonową symfonię, utwor orkiestralny kierowany batutą niesamowitego dyrygenta.

„Ulysses” jest jakimś sabatem czarownic fantazji i wyobraźni, nocą Walpurgi czy Lysagora, na której schodzą się wszystkie gatunki literackie: poezja, proza, dramat. Mamy ich próbki, strzępy, pokładane w dzieje 24 godzin życia Stefana Dedalusa, dublinczyka. Joyce tworzy nowy rodzaj, który rozkwitnie tak bujnie nie tyle moze w Anglii ile w literaturze amerykańskiej. On jest ojem powieści, które w ramach 24 godzin dnia się starają się przechwycić obraz środowiska, kolowisko ludzi, splątania intryg, myśli przebiegające na tamie pamięci. Joyce zapomniał niezwykle literaturę świata: jest on wielkim iniatorem.

Joyce jest twórcą nowego świata tak jak twórcą jest Proust. Różnice jednak między tymi dwoma autorami są oczywiste na pierwszy już rzut oka: Proust opiewa świat wieczny, świat obumarały ale umierający; Joyce walczy z dzisiaj. Proust jest wieźniem Faubourg St. Honoré, hajdografem snobizmu, trubadurem schyłku; Joyce porusza się w świecie t.zw. małego człowieka. Proust jest niejako bardziej naukowy w swoim badaniu; Joyce wykazuje niecierpliwość lot fantazji, jego analiza jest niejako płytsza, nie tak posegregowana jak Prousta, przez co chwilami proza Joyce’a zatraca znaki, przestanki, przecinki i plynie — jak w ostatnim natchnionym rozdziale „Ulyssesa” — przez długie strony bez zatrzymania. Joyce jest niejako więcej poetą anizli naukowcem, segregator Proust. Joyce przeraził Prousta swoją bezpośredniością, rozrachem, brutalnością, użyciem słów grubych i najgrubszych. Joyce lubi jurność, nie gardzi obseczaniem (z tej to racji „Ulysses” był skofiskowany i zakazany w Anglii i pojawił się w Paryżu). Słowem, Joyce wydaje się nam bardziej żywołujący, zdrowszy niejako anizli Proust zalatujący chachecem pokoju chorego. Bieg Prousta, to zychytanie czasu straconego; Joyce walczy z czasem płynnym, terazniejszym, potyka się z nim z rozpaczliwym zaufaniem i pewnością siebie. Proust wydaje się nam kameralny, gra na szpiciele albo na bardzo delikatnym Blüthnerze; Joyce, to zywiol orkiestry.

Joyce walczy z czasem. Pragnie wyrazić na 1200 bodaj stronach in quarto swojego

„Ulyssesa”, którą Anglicy nazwali „a beastly book”, przepływ czasu, myśli, gestów — utrwalił człowieka na tamie. To film myśli i gestów: słowa, powiązania, asocjacje, przypominania, wstydlive tajniki myślenia — chwyta pewną ręką. Joyce staje się ojcem nowej szkoły; z niego czerpie Wirginja Woolf, z niego Aitken, z niego autor „Light in September” Faulkner, jeden z największych pisarzy dziesięć lat. Joyce osiąga wyniki zastanawiające; jest w zgodzie z rytmem wynalazku swojej ery: filmu, w glebie, na której pracuje jego niespokojna myśl, tkwi dorobek Bergsona i Freud’a.

Joyce jest tylko manjakiem filologii, rozniolowanym w słowie (samotność sprawa, jak często u samotników, że wymyśla on „własny język”: jest to język samotników, którzy chwilami czują, że wszystkie słowa świata są znakami pewnej umowy i że właściwie możnaby je pozmięniać). Tkwi w nim scheda katolicka, scholastyka. Joyce jest niadamym wychowaniem do szperania w źródłach słów, w formacjach i nawarstwieniach języka), swoje oczyszczenie klasyczne (Joyce jest filologiem klasycznym wysokiej próby), swoje zapędy malarskie i muzyczne. Ale to jest dopiero materiał, glina, tworzywo, z którego urabia pracowicie przez lata, wdrując z kraju do kraju, z Francji do Włoch i Austrii, swojego „Ulyssesa”. Szkieletem, na którym rozepnie swoją kompozycję, będzie nowe pojęcie powieści. Porównanie z marlarstwem jest tu może mylne: „Ulysses” przypomina raczej wielotonową symfonię, utwor orkiestralny kierowany batutą niesamowitego dyrygenta.

„Ulysses” jest jakimś sabatem czarownic fantazji i wyobraźni, nocą Walpurgi czy Lysagora, na której schodzą się wszystkie gatunki literackie: poezja, proza, dramat. Mamy ich próbki, strzępy, pokładane w dzieje 24 godzin życia Stefana Dedalusa, dublinczyka. Joyce tworzy nowy rodzaj, który rozkwitnie tak bujnie nie tyle moze w Anglii ile w literaturze amerykańskiej. On jest ojem powieści, które w ramach 24 godzin dnia się starają się przechwycić obraz środowiska, kolowisko ludzi, splątania intryg, myśli przebiegające na tamie pamięci. Joyce zapomniał niezwykle literaturę świata: jest on wielkim iniatorem.

Joyce jest twórcą nowego świata tak jak twórcą jest Proust. Różnice jednak między tymi dwoma autorami są oczywiste na pierwszy już rzut oka: Proust opiewa świat wieczny, świat obumarały ale umierający; Joyce walczy z dzisiaj. Proust jest wieźniem Faubourg St. Honoré, hajdografem snobizmu, trubadurem schyłku; Joyce porusza się w świecie t.zw. małego człowieka. Proust jest niejako bardziej naukowy w swoim badaniu; Joyce wykazuje niecierpliwość lot fantazji, jego analiza jest niejako płytsza, nie tak posegregowana jak Prousta, przez co chwilami proza Joyce’a zatraca znaki, przestanki, przecinki i plynie — jak w ostatnim natchnionym rozdziale „Ulyssesa” — przez długie strony bez zatrzymania. Joyce jest niejako więcej poetą anizli naukowcem, segregator Proust. Joyce przeraził Prousta swoją bezpośredniością, rozrachem, brutalnością, użyciem słów grubych i najgrubszych. Joyce lubi jurność, nie gardzi obseczaniem (z tej to racji „Ulysses” był skofiskowany i zakazany w Anglii i pojawił się w Paryżu). Słowem, Joyce wydaje się nam bardziej żywołujący, zdrowszy niejako anizli Proust zalatujący chachecem pokoju chorego. Bieg Prousta, to zychytanie czasu straconego; Joyce walczy z czasem płynnym, terazniejszym, potyka się z nim z rozpaczliwym zaufaniem i pewnością siebie. Proust wydaje się nam kameralny, gra na szpiciele albo na bardzo delikatnym Blüthnerze; Joyce, to zywiol orkiestry.

Joyce walczy z czasem. Pragnie wyrazić na 1200 bodaj stronach in quarto swojego

ZBIGNIEW GRABÓWSKI.

FILM CHAPLINA „WIELKI DYKTATOR”

Ostatnie dzieło Chaplina uległo zniszczeniu wojennemu. Jest to film zbombardowany. Wojna zdeformowała ten utwor, zrodzony i rozpoczęty jeszcze w czasach pokojowych. Publiczność londyńska błądną wielkiego artysty śledzi z pewnego rodzaju zażenowaniem. Każdy wyczuwa, że jest tu jakaś pomyłka, jakiś nietakt paraliżujący wesołość, i mimo wieśnych pomysłów, genialnych tricków i szczerego liryzmu — londyńczycy wychodzą z kina rozczarowani. Jest to obraz źle umieszony zarówno w czasie jak w przestrzeni. Film ten byłby napewno znacznie lepszy półtora roku temu, i w Ameryce. Dostosowany jest do umysłowości amerykańskiej i mówi tylko o dyktatorach a nie o wojnie. Dziś patrzmy na dzieło Chaplina, jak ktoś, kto mocno poparzył, kto stracił w ogniu dom i najbliższych, patrzeć musi na dowcipnisa, który bardzo zabawnie, zdaleka, spoza zasięgu ognia, wyszydza pożar. Niewątpliwym dowodem wielkości Chaplina jest fakt, że jednak od czasu do czasu, w tych trudnych do śmiechu warunkach — śmiejejmy się.

Jest sprawą krytyki ocenić dzieło w oderwaniu od jego doradnego efektu, osądzić ten film tak jak był pomysły. Pewien jestem, że za lat parę film ten bawie nas będzie znacznie swobodniej, sądzę jednak, że zawsze pozostanie pewien brak, pewna luka natury intelektualnej i artystycznej. Chaplin nowe formy okrucieństwa i nową dialektykę barbarzyństwa ośmiesza starem sposobami. Rodzaj komizmu, reprezentowany przez Chaplina, wywodzi się z bufonad średniowiecznej, z „ommedia dell’arte”, których tradycje przetrwały w blazenadach cyrkowych do naszych czasów. Teatr i widowisko jest najbardziej konserwatywnym rodzajem sztuki. Kolorowo-dźwiękowy dramat, wyprodukowany w Hollywood, nie jest tak daleki Arystofanesa, jakby się to pozornie wydawało. Nie mówimy, oczywiście, o wartości artystycznej ale o samym sposobie oddziaływania na masę. Sądzić było można, że ten odwieczny sposób wyszydzenia tyranów doskonale nadaje się do chaplinowskiego filmu o Hitlerze.

Sprawdzenie wielkiego tyra i dyktatora do poziomu małego, śmiesznego człowieka, wydawałoby się, jest tematem idealnym dla wielkiego komika amerykańskiego. Ale tu zaczyna się pierwsza pomyłka Chaplina. Można wyszydzić majestat tyra tylko w tym wypadku jeśli ten tyran jest majestatyczny. Hitler jest wzyty z majestatyczności. Neron był krwawym kobytnem, kiepskim poetą, złym śpiewakiem i znakomitym trucieliem. Ale Neron miał majestat tradycji, tronu i obyczajów rzymskiego. W był człowiekiem ułamek — ale jednym z wadliwych, nie był wdzem uwielbianym przez Rzymian — ale tyranem znieprawdzonym przez pospółstwo. Hitler jest

wytworem pospółstwa, jest wyrzycielem tłumu drobniomieszczanstwa niemieckiego, jest człowiekiem ulicy, przez tę ulicę wyniesioną szła wypadków na wyżny władcy. Atynła feda na czele plemion barbarzyńskich, ale tych plemion nie zepchnął z wyżny czybkości w mroki dzikości. Hitler naród bzdących europejski przemienił w Hunów.

Togo nie może dokonać żaden tyran czy dyktator. Może to zdziałać wódz, który jest ciałem i krwią swego ludu. I dlatego Hitler bez tła, bez genyzy, bez swego narodu, jest zaledwie cieniem, a trudno jest obalać cienie. W jawisku Hitlera najbardziej interesujący jest sam fakt dojścia do władzy. To co nastąpiło dalej, było już tylko żalonna konsekwencja słabości Europy. Ale metoda, którą Hitler opanovał masę, i podatność tych mas na hasła najłżejsze i najtrywialniejsze, jest główną i zasadniczą cechą tego zjawiska. Kraj „uczonych i muzyków”, który przyjmując z entuzjazmem klanstwo i okrucieństwo, oto główny bohater ponurego widowiska, rozgrywanego się dziś na świecie.

Chaplin potraktował hitlerizm jako głupi i obrzydliwy epizod bez większego znaczenia, pokazał marność i podłość dyktatora, ale zlekceważył siłę wyzwolonego barbarzyństwa. Pokazał nam Hitlera — błązna, ale zakrył w ten sposób prawdziwy obraz Hitlera-mordercy. W podobnym potraktowaniu tematu tkwi spora doza szlachetnego optymizmu. Rozpętanie szadzi i okrucieństwa wielu ludziam oświeconym wydawało się już niemożliwością. Parę lat temu H. G. Wells, który jest jednym z najbystrejszych dalekowidzów, wypowiedział w mojej obecności opinie o hitleryzmie identyczną z założeniem filmu chaplinowskiego. Uważał, że jest to bzdryki wypadek, coś w rodzaju wykołajenia się pociągu czy tramwaju, ale że jest to zdalenie bez żadnego znaczenia dla prawdziwego nurtu dziejów ludzkości. Być może, że i on i Chaplin mieli rację z punktu widzenia cierplivej historii, ale w tem sformulowaniu czaiło się wielkie niebezpieczeństwo. To przecenianie dobrych stron natury ludzkiej kosztowało już do dzisiaj zbyt wiele cierpien i krwi. Pisarze walczyli z hitleryzmem ulegali złudzeniu, że wystarczy okazać kłamliwość i głupotę haseł hitlerowskich, aby spełnić swój calkowi obowiązek. Głoszone przez nich prawdy pozostały w dość ciastem kółku ludzi oświeconych i predysponowanych do uznawania wolności i tolerancji.

Do mas przemawiali wtedy Hitler i Mussolini, a wielki kapitał popierał tych apostołów okrucieństwa i ciemnoty. Gdyby Chaplin pokazał nam genozę hitleryzmu i ujawnił tajemnicę jego narodzin w epoce powojennej, z pewnością był trafiał na złotą żyłę autentycznej i twórczej satyry. Gdyby ten film sięgał do źródeł, gdyby opierał się na głębszej, wnikiwszej analizie zjawiska hitler-

Przywykliśmy uważać Anglię za kraj najbardziej konserwatywny, zachowujący jak najwięcej starych tradycji. Tymczasem promiesieczny pobyt tutaj i zbliżenie się do jego mieszkańcami w codziennem obcowaniu zmieniło ten nasz pogląd z odległości.

Z tradycją w naszym rozumieniu związany jest nierozwalnie element kultu, sentymentu dla dawnych zwyczajów, przeszłości, zrozumienie i znajomość historii. Stare tradycje są bardzo żywe w naszym kraju. W Anglii jest to stytynie utrzymywanie dawnych zwyczajów, z których duch już uleciał. Jest rzeczą łatwą do zaobserwowania, że historyczne zamieszkania są raczej obec duchowi Wielkiej Brytanji, że daty i fakty z dalekiej przeszłości nie są nigdy ściśle precyzowane przez przeciętnego obywatela. Jeżeli zapytamy naprzykład o pochodzenie orderu Podwiązki, może 50% inteligencji na nie odpowie. A przecież jest to przykład stosunkowo łatwy. W Szkocji nosi się dużo t.zw. „kilt-woły”, „startan” i stanowią dumę członków danego klanu, ale tylko arystokratyczne rodziny posiadają swoje drzewo genealogiczne a pochodzenie i historia danego klanu nie interesuje nikogo. Szereg angielskich procesy, obchodów w starodawnych strojach należy przepisać nie tradycji ale właściwemu każdemu obywatelowi Wielkiej Brytanji zamieszkiwanemu do zabaw dziecięcych.

Nie istnieje tutaj kult ani postaci historycznych ani zwyczajów. O Robin Hoodzie, Marji Stuart, Elzbiecie, Nelsonie więcej słyszeliśmy w Polsce niż tutaj. Jeszcze dla członków rodziny królewskiej istnieją pewne wyjątkowe zwady. Nie spotyka się jednak u młodzieży umiłowanych bohaterów wojen, autorów księzek historycznych, dla których nasza młodzież żywi prawdziwy sentyment. Powieść historyczna, której przedstawicielem jest Walter Scott, ma znacznie mniej młodych amatorów niż romans detektywny. Poza brakiem zainteresowania historycznych, istnieje brak sentymentu dla przeszłości. Umilowaniem Anglika jest jego ojczyzna i rodzina. Ale ich miłość do ojczyzny to nie jest to co u nas: umilowanie kraju przez pamięć bohaterkiej przeszłości, świecenie dni jej chwaly, obchodzenie żałoby, chwil ponizenia. Anglika kocha swój potężny kraj, swoje kolonie, bogate miasta, dobrobyt, lecz niejąkich armatami krajownikami, czuwającymi nad bezpieczeństwem jego i jego rodziny. Nie rozumie co to jest kult przeszłości. Nie sprzyja też tradycji, w naszym rozumieniu, ogólnie panujący protestantyzm, który jako religia stosunkowo nowa odrzuca poprostu szereg tradycji. Dlatego wiec Wielka Brytanja przechowuje dawne obrzędy, których ani nie rozumie, ani nie kocha?

Przeżyłaby tkwi w tem, że życie każdego obywatela kształtuje się według pewnych surowych zasad. Taką zasadą jest postuświenie dla rodziców i starszych, wychowawców i nauczycieli, przeswiadczenie o ważności przed wiekami zdobytego doświadczenia. I to nawet nie podlega prawie dyskusji i krytyce. Dlatego równie pieczołowicie przechowuje się stary try telefon z oddzielną, zawieszoną słuchawką i mikrofonem, jak i przedwieźne, skoczne tańce, które niewiadomo w jakim czasie i w jakiej części kraju się urodziły.

Przeszły święta Bożego Narodzenia, które w Polsce są związane z licznymi czysto polskimi tradycjami a nie tylko związane z kościelnymi, katolickimi rytuałami. Istnienie u nas wiec zwyczajów, które się przechowuje jako tradycje historyczne: kolednicy, szopki krakowskie, wigilia z charakterystycznymi potrawami, stół przykryty sianiem, wesoły Świątewer, święta Trzech Króli, związane z kryleniem wieciał na drzwiach święconą kredą. Ale poza temi zwyczajami, przechowywanymi w rozumieniu i ukochaniu dawnej przeszłości, jest jeszcze coś więcej. Ludzie obchodzą wtedy wielkie święto pojednania, zespolenia, zrównania wszystkich stanów. Bóg się rodzi w radości pełnych sercach.

Pamiętam jedną z ostatnich wigilij obchodzonych w Polsce na wsi. Do wielkiego stołu, postawionego w wielkiej sieni starego dworu, z chwila pokazania się pierwszej gwiazdy na niebie zasiadli wszyscy: rodzina, przyjaciele, cała służba folwarczna. W kątach sieni płożli migotliwym blaskiem świece choinki, ubrane w kolorowe łańcuchy. Pachniały lasem. Dziedzic, stary, siwy, odświętnie ubrany, lamal się opłakiem ze wszystkich. Biały, symboliczny chleb lamaly twarde spracone dlonie, zczyliło się w tym samym szczęściu i radości. Potem obchodzilo się stajnie i obory. Świećilo się zwierzęta i dobytek w te czarowna noc. Pamiętam jeszcze smak doskonalej kutki, kiedy talerze grzeszy w sianie, zaścałajacem stół. Po wiecezcy śpiewało się koledy. W wspomnieniu krzywd i zwad, w miłości i zgodzie świećilo się stary, wzruszający obrzęd Bożego Narodzenia. Zakończyły go kolednicy i pastorka.

Jak daleko i jak w innej skali przeżyć zjadło się dn. 25 grudnia tradycyjnemu indykalu, w jadali ustrojonej koloremami bibulkami, pod wieciem jemioły, którego pochodzenia nikt wytłumaczyć nie potrafił. Drzewko, pachnące jedlami, zastąpiono sztuczną dekoracją, koled śpiewano niewiele. Ieh monotonna melodia przypominała psalmy. Na pierwszym miejscu, przed nikogo nie zauważenie, siedziało zaplakane wspomnienie. — Daleko jeste, Polsko wspaniała, w krakowskie wstątki przybrana, roztańczona w szalonym obrku, w szepet legend o wawelskim grzędzie zasłuchana, przed obrazem Dziewicy, ręką Tataryzma dwukrotnie ugodzonym, klezaczka. Daleko jeste, ziemo ojców naszych, bohaterskich naszych grodów i świątyń, gdzie każdy kamień, kościół i miasto swoją tradycję i legendę zadróżnie chowa, a lud ją w zwyczajach swoich świećilo, umiłowaniam ją do zycia powraca!

ZOFJA KOLANKOWSKA.

W poprzednim 6-stroniciowym numerze (46) „Wiadomości Polskich” (7 ilustracji): *Kawery Pruszyński*: Learn english! — Nowe wydanie „Nad Wisłą i Wkrą”. — *Antoni Słonimski*: Popiół i wiatr. Opowieść o minio nei młodości i o utraconem mieście. Fragmenty poematu (rysunki *Feliksa Topolskiego*). — *Zygmunt Karpiński*: Wspomnienie z Gniezna. — *Aleksander Hertz*: Ameryka wobec wojny. — *Stanisław Mackiewicz*: Stara znajoma. — *Zygmunt Nowakowski*: Z księgi meczństwa polskiego. S.p. Jan Włodek. — *Grabiec*: Doboszyński o sprawie ukraińskiej. — *Pawel Moskwa*: Bajka o bomberze i fighterze. — *Wacław Solksi*: Szejwk na zebraniu Wlajki. — *Jerzy Tumaniszewski*: Jak zginął „Grom”. — *Gustaw Gada*: Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej. — *Zygmunt Nowakowski*: Od redakcji. — *Alfa*: Rozmaitości. — Nieznany portret Kościuszki. — Książki polskie dla żołnierzy. — Korespondencja. — Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich”. — Skarbnica Polska. *Andrzej Niemojski*: Przekleły. *Mieczysław Romanowski*: Śmierć Żiżki. Sztabdary polskie w Kremlu. Kiedzy?

ANTONI SŁONIM

